







ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom trzynasty.



DZIWAŁA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

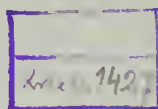
Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora

TOM I.

LWÓW

W księgarni

872



1905 D 26

data.

Słowo Autora.

Powieść ta napisana była niemal do połowy drugiego tomu w roku 1848, i zupełnie porzucona na czas jakiś, a możebyśmy jej nie dokończyli wcale, jak wiele innych, gdyby nie pilna naówczas potrzeba zasilenia „Tygodnika Petersburskiego“, który straciwszy głównych swoich kolaboratorów, udał się za pośrednictwem ś. p. metropolity Hołowińskiego, żądając czegoś dłuższego dla zapelnienia próżni, jeszcze naówczas zbyt widocznej, dziś już niczem nie zajętej. Posłuszni żądaniu dostojnego zmarłego, którego los pisma obchodził, oddaliśmy zaraz „Dziwadła“, skończywszy je, do „Tygodnika“, który tom I-szy i część II-go tylko podobno wydrukował, a całość później odstąpił księgarzowi Wolffowi, i ten w lat kilka dopiero, bo w roku 1853, wydał „Dziwadła“.

Gdy nam je dziś przejrzyć i poprawić przyszło, małośmy znaleźli do zmiany, a przebierać głównej myśli i postaci w nowy sposób nie chcieliśmy umyślnie, pozostawiając pierwotne choć ulomne. Musiały one być takimi tam, gdzie szło o ideały, któreby nie były niepoścignionemi mrzonkami, ale żywemi i możliwemi po-

staciami naszego świata. Zapewne i pod tym względem wiele im zarzucić można, aleśmy ani pana Graby, którego charakter wywołał zarzuty, ani Ireny inaczej dziś przedstawiać nie chcieli.

Na ideały wiele im braknie: ujdą na dziwadla... Zresztą nowe pojęcie ich, nowąby całe stworzyło powieść i pociągnęłoby za sobą zmiany całej budowy: czy na lepsze? to przewidzieć trudno.

Z pokorą więc tak stojemy dziś przed czytającymi, jakeśmy im się dali poznać wprzód, nie ufając siłom i nie wierząc w późną poprawę.

Powieść ta pomimo żwawych krytyk, większe może miała powodzenie nad inne, lepiej przyjętą została, niżeliśmy się spodziewali; przypisujemy to nie wartości jej, ale pragnieniom i dążności, jakie myśl główna obudziła. W Grabie chciano widzieć wzór człowieka, jakich potrzebujemy, i on wskazany został instynktem czytelników za bohatera powieści, choć inne figury główniejszą w niej grają rolę. Nie bez słuszności zarzucano Irenie: trochę męskości zbytcej, trochę lwiego charakteru, który jednak po rozmyśle musimy jej zostawić... Nie jest to ideał nasz, ale istota żywa i podległa słabości wieku i czasu, jak wszyscy: bez tego byłaby zimną i powszednią. O wartości artystycznej tego obrazku nie nam sądzić przystało: wiemy, żeśmy go pisali z uczuciem, żeśmy te postacie ukochali serdecznie i przywykliśmy do nich jak do znajomych, a cała ta powiastka zdała się nam jakby odeśnioną z przeszłości, jakby rzeczywistością zamgloną.

Żytomierz, dnia 16. czerwca 1856 r.

Drezno, 1871 r.

I.

Panu Edmundowi Suszy w Warszawie.

Turza-Góra, 20. września 184..

Kochany Edmundzie! A! a! a! ubolewaj nademną, jeśli ci czasu na ubolewanie, rodzaj twojego życia i rozliczne próżniackie zajęcia zostawia. Jestem nareszcie w Turzej-Górze i nudzę się śmiertelnie. Spodziewałem się tego, i przeciw najpowszechniejszemu prawidłu, ziściły się całkowicie nadzieje moje: nie zawiodłem się wcale. I niedość że się nudzę, jak rzekłem, ale w oddalonej perspektywie jak zajrzeć, nic nie widzę przed sobą, nic, tylko szeroko rozłożone sine i ciemne nudy. Mój Boże! a wy tam się tak ślicznie bawicie w Warszawie. Wściekam się myśląc o tem, serce mi rośnie z zazdrości i wyrzywa się, głowa kręci: szerokie ziewanie gniew ten i szal zamyka! Nauczyłem się ziewać, nauczyłem spać, nauczyłem patrzeć w okno przez półtóry godziny i liczyć belki na suficie, uważając bacznie czy są parzyste; nauczyłem się liczyć tarcice i ćwieki w podłodze: trzeba ci bowiem wiedzieć, że tu sufity są o bel-

kach i podłogi z tarcie sosnowych, poprzybijane najnaiwniej ćwiekami, których głowy ciekawie sterczą do góry. Ale czekaj! nie od razu Kraków zbudowany: dowiesz się o wszystkim, cierpliwości tylko trochę, cierpliwości.

Wiesz już dobrze jak zadłużony, prześladowany przez zawistne losy (styl teatru Rozmaitości), zdradzony przez Lorę, naglony nielitościwie przez Szmula Malsztejna i bliski osadzenia za należności fantastycznych rozmiarów w stosunku do kieszeni mojej: przypomniałem sobie nareszcie jednego wieczora (właśnie w porę), że miałem bardzo bogatego dziada stryjecznego, bezdzietnego starca, na którego ogromne dziedzictwo czyhali ubocznymi krewni. Wiesz, jak nagle siła krwi pociągnęła mnie ku niemu, jak mi się zachciało wsi, polowania, samotności, ciszy, ustronia dalekiego i spoczynku. Wiesz i to, jak się pożegnaliśmy z dobrymi towarzyszami przy butelce szampana, jak upojony Montebello i nadzieją, siadłem w koczku wygrany od Alfreda, i z towarzyszeniem pocztarskiej trąbki, puściłem się w kraje nieznane. A za mną zostawał nieutulony w żalu *Mary*, któremu coś naksztąpiło dwóch tysięcy złotych należało się za ostatnie śniadanie, czarodziejska Lora, dobrzy przyjaciele, których ograłem sposobując się w drogę i Szmula Malsztejna, gładzacy siwą brodę i wznoszący oczy w niebo, jak gdyby myślał, że w lazury na wozie Eljaszowym uleciał, porwany żywcem za cnoty moje.

A! bo w istocie cnot moich nikt z was, oplakujących mnie teraz, zaprzeczyć nie może. Albożem kiedy wypchnął żyda za drzwi, poszczul psami lub przynajmniej nie hamując się wybesztal? Albożem nie szanował w każdym z nich i pieniędzy, które dał, i tych, które

mógł dać jeszcze? Albożem nie był markizem francuskim (przeszłych wieków) co do grzeszności z nimi, ruskim bojarem w szczodrośliwości... na papierze. Albożem po ohydnej zdradzie Lory zrobił jej najmniejszą, o którąby zemsta wolala, niegrzeczność?? Czym choć nie uklonił się jej kiedy? czym wymówki czynił? czym... Któż cnoty moje wyliczy, które teraz wszystkie razem wychodzą przedemnie i klaniają mi się z miną odprawionych slug!...

A wyż towarzysze moi, nie uznacie-li, żem wygrywając, był *de bonne composition*, tak dalece, że brałem za dobrą monetę fajki wasze piankowe z włosami, pozwalając zakładać w banku cygarniczki... a przegrywając płaciłem do ostatniej podartej pięcio-złotówki? Nie uznacież, żem pil nigdy się nie dając prosić (choćby szkaradne wino), sekuudował choć to pachło kożą, i strzelał się ze świeżo powracającymi z Paryża lwami, co dali dowody trafności swych strzałów u Lepage'a i Devismes na dyskach treflowych!

Niestety! nie na świecie mniej użytecznego nad towarzyskie cnoty. Na cóż mi się one dziś przydadzą? Talenta, nauka, doświadczenie, nabyte w kochanej Warszawie tak drogo, leżą dziś trupami przedemną: jestem w Turzej-Górze... to dosyć. Ale że ty nie znasz jej i nie wiesz zupełnie co to jest Turza-Góra, muszę narzeczcie począć od początku, gdyż, jak uważam teraz, zaczynałem podobno od żalów, to jest od końca.

Koczyk mój toczył się po nierównym bruku i spuszczał na most pragski, a ja, obwinięty w płaszcz, udało mi się, że drzemie, jedno tylko i to nie całe oko na świat pniwszy, aby zakrytego nie poznał Szmul Malsztejn lub przejeżdżająca Lora. Pierwszy za kołnierz, druga

za serce zatrzymać i zawrócić mnie mogli. I widziałem jednym okiem na świat patrzącem wszystkie sceny żywota, z którem się rozstawałem. Miasto wrzało, krzątało się jak wczoraj; nikomu nie brakło, nikt nie poczuł, żem wyjeżdżał: tak ze mną, jak bezemnie!! Nigdzie nie widać było po mnie żaloby. Uderzony tą niewdzięcznością, otrząsłem proch z nóg moich i począłem wymowne a długie przekleństwo na miasto, które trwało do rogatek. U rogatek, gdyśmy się jeszcze rozmijali z niedobitkami miejskiego żywota, a pocztylion poczynął trąbić raźnie, ja już usnąłem...

Snów opisywać nie będę, choć nudząc się tu wściekle, miałbym prawo snami nawet mojemu list, jedyną zabawkę, przedłużyć. Ale mam litość nad tobą, *je suis bon enfant comme au temps jadis*.

Gdyś się przebudził, mineliśmy już byli Milosne, a tęsknota gorzka napadła mnie razem ze zmrokiem. Myślałem co wy tam porabiacie, i zazdrościłem ziewając szeroko. Oni się bawią! i nikt mnie nie wspomni! Lora siedzi na kolanach pana generała, któremu gładzi siwą czuprynę i poczernione wąsy; Szmul pożyczka Stanisławowi tak jak mnie pożyczal, a Mary karmi parafliańskie żołądki przybyłych do Warszawy, którzy nie wiedzą czemu się bardziej dziwować: czy, że tak smaczno jedzą, czy, że tak drogo placą!

Z myśli wpadając na myśl inną, nieznaniem drogi dostałem się na surowe uwagi nad sobą i przyszłością. Wyznasz, że znalazłszy się na tem niezwykajnem mi stanowisku, mocno się naprzód zadziwiłem. Miejsce było mi całkiem obce: kierowałem się w niem instynktowo.

Sierota, utraciwszy co miałem, odłużony, bez przyjaciół (darujcie, nie wiedziałem może com mówił), bez

rodziny, bez żądy i nadziei w sercu wystygłem i wyschłem, mając tylko sto dukatów obciętych, koczyk i nieopłaconego Stasia (Staś się zowie nieopłaconym, bo dwa lata pensji nie widział), puszczałem się na fale rozhukanego morza wypadków i losu. Jadę do dziada, który mnie nigdy nie widział, który zaledwie może wie że żyję, do którego się nie zgłaszałem od czasu, jak matka przypilnowała mnie, abym pisał do niego powin-szowania świąt na dwóch linjach. Jak on mnie przy-jmie? Co z tej podróży wyniknie? Żyje-li on? Kto to jest? Te i tym podobne pytania przez myśl mi prze-chodziły, a odpowiedzieć sobie na nie nie potrafiłem. Probujemy! — powtarzałem tylko w duchu.

O fantastycznym moim dziaduniu tyle tylko wie-działem, że bardzo bogaty, że bardzo stary, że mieszka w zapadłem Polesiu nad brzegami Słuczy, że zardze-wiały jak stara szabla, i że trudno mi zapewne będzie njać go i podobać mu się.

Nadedniem obudziłem się znowu po snach różnych i marzeniach, stłuczony, zmęczony i ziewający naprze-ciw miasteczka Biały, gdzie stary zamek, podobno Ra-dziwiłłowski, świeci białemi żebrami jak kościotrup wieloryba, odartego z mięsa i tłustości, porzucony przez rybaków na morskim brzegu. Tu spoczawszy trochę, ndałem się dalej, i dojechawszy dopiero do Brześcia, nauczyłem się geografji. Pokazało się bowiem, że powinienem był jechać na Lublin i Chełm lub Wło-dawę. Wziąłem, jak prawy Warszawianin, Polesie za Litwę i myślałem Słuczy szukać około Wilna kędyś lub Grodna. Naprawilem tę omyłkę zawstydzającą, choć się z niej śmiałem dobrze, przedzierając się bez drogi po-

człowiek, najętym furmanem, ku zamierzonemu celowi podróży.

Skoczmy od razu do niego, mijając nudne i powolne zakątki błakanie się po kraju, o którym wyobrażenia mieć nie możesz, boś go, jak ja, nie widział na własne oczy. Kraj to dziki, straszny, smutny, a zamieszkanym przez samych tylko wieśniaków, żydów i ekonomów: przynajmniej nie tu innego widzieć mi się nie trafiło.

Ja, co przywykłem długo do wygodnego mieszkania, do zbytkowych wygod życia, do pozornej wytworności, która po miastach niedostatek nawet osłania: co chwila zdumiewałem się, jakim osobliwszym przypadkiem ludzie w takiej nędzy, upodleniu, niedostatku, brudzie i smrodach dwie godziny przeżyć mogą? Pierwszy nocleg w jamie okropnej, którą tu dobrą karczmą nazywają, wydał mi się całą wiecznością piekiel. Wieśniacy, tak ujmujący w starych sielankach i nowych powieściach, pokazali mi się straszliwi, osmołeni, z całą potwornością, jaką ich obdarzyła nędza i długie zezwierzęcenie: w świetle, w jakim zaledwie przed kilkuset laty wyobrażać ich sobie mogłem. Jak na złość nawet natura nie osładzała żadnem miłszem wrażeniem, przykrych, jakie odbierałem od ludzi i wszystkiego ludzkiego. Nasza natura w pałdzierniku, jak wiesz, wcale się nie wdzięczy i nie stroi; a tu wątpię, żeby i maj był bardzo powabny. Ogromne przestrzenie zajmowały błota kępiaste, pokryte stogami pochyłonemi; lasy krzywe i nędzne, żółte piaski sośninką rzadką potrząsione, a nad tem wszystkim niebo szare, brudne, smętne, niekiedy zaplakaue, a zawsze wilgoć jakąś nieprzyjemną z siebie sączące.

Nareszcie, nie wiem już którego dnia mojej podróży,

gdy mi cygar i tytonin, i wódki francuskiej, i czekolady, i ciasteczek, i cukierków nawet u Lessla na drogę kupionych, zabrakło, dowiedziałem się, że jestem przecie o trzy tylko mile szkaraduej drogi (innej tu nie ma) od Turzej-Góry i od kochanego dziadka.

Serce mi się poruszyło bardziej na wspomnienie spoczynku, wyznaję, niżeli na szanownego ze wszechmiar starca, którego poznać miałem: potrzebowałem bowiem pilniej odpoczynku, niż dziada. Ubrany świeżo i modnie, ale że godzina była ranna, nie we fraku, siadłem do powozu i wyglądałem rychło-li się ukaże port oczekiwany.

Niestety! trzy mile jechałem dla błota i nakotów (innym razem wytłumaczę ci co to jest), najmuiej sześć godzin, i dopiero około południa woźnica mi oznajmił, że karczemka, przy której konie odpoczywały, należała już do obszernego klucza Turzo-górskiego. Z pierwszego przedmiotu chciałem zaraz wnieść o posiadaczu, i ciekawie wychyliłem się ku karczemce.

A! pomyślałem sobie, jeśli tak dziadunio wygląda jak karczemka, nie było po co jechać! Wystaw sobie chatę *tout ce qu'il y a de plus misérable*, cztery słupy niskie, zarzucone kłódkami nieobrobionemi, okienko na wpół w ziemi, dach zielony mchem porosły, komin szczerbaty, drzwiczki koszlawe: słowem, najnędzniejszy szałas w świecie. Chcącemu wnioskować, wnioski sunęły się tłumem do głowy; skończyłem na ostatecznym wyroku, że starzec niedbały, bezsilny, a ludzie rządzą za niego i rządzą nie do rzeczy.

W tem koniska wytchnąwszy, ruszyły dalej. Skończył się przecie nudny i jednostajny las; wyjechaliśmy na pole szerokie, i w oddaleniu ukazała mi się góra drze-

wami zarosła. Z pośrodku szarych już gałęzi wznosiła się biała wieżyczka kościelna i ciemne kopuły cerkwi ruskiej; nic więcej nie dostrzegłem. Droga sunęła się wśród piaszczystych łąków obrzuconych żerdziami, a na niej ślady tylko niekuty kół wyryte były. Zbliżając się ku Turzej-Górze, wydostałem się znowu na nieznośną groblę, nad którą stały młyny, zgarbione i siwe od mącznego pyłu, i przejechawszy przez kilka mostków prawdziwie poleskich, wtoczyłem się nareszcie do miasteczka.

Turza-Góra bowiem zowie się *miasteczkiem*. Ażebyś wiedział, co tu tem imieniem nazywają, opiszę ci je. Nie mam co robić, a papieru i atramentu nie rychło mi zabraknie. Słuchaj więc, a raczej czytaj i ucz się. *Ab uno disce omnes* (patrzcie jak wyrzuca na wierzch stara szkolna łacina!). Blotnistą ulicą wjechałem w tak zwane miasteczko: po obu jego bokach stały chalupy czarne, gdzieśniedzie porządniejsze białe, po pas oszamerowane i obwiedzione takąż obwódką dokola okien i drzwi. Przed domostwami ogromne śmietniska zaświadczały o starożytności sadyby. Stare grusze, obwieszzone szaremi płach'ami, ocieniały zgnile dranicowe dachy. W pośrodku był rynek: tu, w pięciu karczmach, które stały jak pijane, powywracawszy się na różne strony i podpierając jedna drugą, i w dwudziestu lichych domkach z gaunczkanii, pełnemi fantazji, mieścili się żydzi. Żyd stanowi miasteczko.

Prawo powszechne: jeden żyd — wioska; gdzie tylko ich więcej — miasteczko: im większa liczba żydów, tem lepsze i handlowniejsze. Dodatkowemi tylko cechami miasta są: cerkiew, jak tu stara i ciasna, kościółek odrapany, niegdyś biały, i kramy. Zajmują one środek

ryнку w Turzej-Górze; były może dawniej kiedyś porządne, ale dziś widać ogolocene krokwie na dachu, a piasek zasypał je do okien. Przed niemi, pod dachem wychylonym, miara miejska. Dom z ganeczkiem piętrowy, na którego wierzchołku był dawniej dzwonek, zwał się ongi ratuszem. Wysadzaną wierzbami amputowanemi niemiłosiernie drogą, na której tylko dwa razy ugrzązłem, i to nie śmiertelnie, bo mnie drągami podważano, a nie wołami wyciągano, wskazano mi do dworu.

Wysokie płoty otaczające sady, jak się domyślałem, ciągnęły się po za rowem szerokim; wszędzie drzewa. Z za gałęzi ich ujrzałem wreszcie oczekiwany dwór: wysoka murowana brama wiodła w dziedzińiec, którego jeden bok zajmowała budowa obszerna, ciemna, z wysokim dachem i licznemi kominami; dalej stały podobnego pozoru oficyny, murowany skarbiec z herbową chorągiewką na głowie i t. d. Wał niegdyś otaczający zamczysko, na którego miejscu stanął później ów dwór, opasywał jeszcze zabudowania; wyschła fosa zarastała drzewy i krzewami. Tuż po za dworem płynęła Słucz głębokim parowem.

Dwór mojego dziada dla mnie miał minę wielkiej starożytności, nigdy bowiem nic podobnego nie widziałem. Drewniane jego ściany przecinały okna dość duże, ale z małych po większej części szybek, w ołów oprawnych, złożone. Ganek na czterech słupach oparty, z ławkami dokoła, wysłany był cegłą, która środkiem głęboko wychodzona w ziemię wklęsa.

Gdy koczyk mój zataczał się powoli przededrzwii, ujrzałem kilka figur ciekawie wybiegających z za węglów domu, z kuchni i oficyn, aby się przypatrzeć przybywającemu. Stałem: szpakowaty w krótkiej lisiurce i

skórą wyszytych rajtuzach mężczyzna, ze stępem w rękę, siwe oczki brwią chmurną okryte wlepił we mnie zaraz w ganku. Zdawał się oczekiwać zapytania. Ja tymczasem mierzyłem go oczyma nawzajem, chcąc odgadnąć, coby zasz był. Twarz poryta zmarszczkami, wąs zawieszisty, usta rumiane, przy uchu kołczyk, bokobrody wymiarów olbrzymich, do góry podczesane, dopełniały fizjognomji; z pod lisiurki przeglądał tombakowy łańcuch z dewizkami, należący, jakem się domyślił, do ogromnego srebrnego zegarka.

— Pan Koniuszy jest w domu? — spytałem dość grzecznie (wiecie, że jestem zawsze grzeczny, nawet gdy najbardziej zmęczony i znudzony).

Slugus (gdyż niewątpliwie byłto sługa) obejrzał mnie i powóz uważnie, wyjął powozi z ust kłak, który dopiero teraz pod wąsami spostrzegłem, i odpowiedział mi, splunawszy, dość ochrypłym głosem:

— A jest.

— Wszak będę się mógł z nim widzieć?

— A czemuż nie?

Postąpiłem krok.

— Wskażcie mi, proszę — rzekłem — gdzie mam iść?

— Prosto do sali — rzekł szpakowaty — a potem na prawo.

— Bez oznajmienia? — spytałem.

— Albo co? — rzekł zdumiony slugus.

Dopierom sobie przypomniał, że jestem na wsi i że tu inne muszą być obyczaje, i rozebrawszy się, puściłem się w podróż odkryć za szanownym dziadem.

W sieniach na łosich rogach wisiały trąby, torby, harapy, smycze, obróże, dwa zajace i pęk jarząbków.

— Juźciż — rzekłem w duchu — siedmdziesiąt-letni

z górą starzec nie może być myśliwym: ludzieto sobie tak gospodarują u niego; znajde go pewnie w wygodnem krześle u kominka.

To mówiąc, otwarłem drzwi tak zwanej sali i wszedłem do ciemnej dość izby, której okna wychodziły na zarosły brzeg Sluczy. Ściany okryte były starym papierem, wypłowiałym, w jakieś dziwne desenie: na łodygach kwiatów olbrzymich przechadzały się tam panie i panowie, pasterki i pasterze. Od sufitu wisiał porcelanowy pajak, okapany woskiem. Kanapa i krzesła były niegdyś białe ze złotem, wybite spłowiałą cytrynową trypą. Dwa stoły, dwa piece kaflowe po kątach (w których się właśnie paliło), otoż i cała prawie sala; zresztą żywej duszy. Wedle skazówki, płynąłem na prawo, zkąd donośny głos mnie dochodził; mimowolnie słyszałem odlamek rozmowy:

— A byłże na miejscu?

— A był jaśnie panie.

— I pewnie wie, że losie są w ostępie?

— Mówi, że napatrzył.

— A obławąż nakazana?

— Jeszcze wczoraj.

— Cóż u stu rejmentów djabłów, że dotąd nie wyszła! Powinna być na miejscu! Posłać zaraz gumiennego, polowego, gajowych z harapami, niechaj pędzą spóźnionych!

Właśnie na te wyrazy wszedłem do pokoju na prawo.

Dwóch ludzi stało w borsucznych torbach u drzwi przeciwnych, a jakaś figurka dobrze siwa, maleńka, trochę otyła, pękata, szerokich ramion, przechadzała się po pokoju: w takiej samej, nowszej tylko trochę, zielonej lisiurce, od widzianej już w ganku, z harapem

przez plecy, w butach juchtowych i czapce na ucho zarzuconej.

Ten jegomość zmierzył mnie stojącego w progu, ubranego wytwornie, okiem nieufnem, zdziwionem; głos zamarł mu na ustach.

— Chciałbym widzieć się z panem koniuszym: nie powie mi pan z łaski swojej gdzie go znajdę?

— Pana koniuszego Sumina?

— Tak jest.

— A po kiegoż on djabła jegomości?

— Przybyłem do niego.

— Do niego? Pewnie z jakim interesem?

— Bez żadnego interesu, chęć poznania go tylko.

Mały starszek nie dowierzając poglądał mi w oczy; ja wdychałem, użalając się w duchu na tyranję, z jaką słudzy biednemu starcowi nawet widzieć się nie dają z przybyłymi do niego.

— Cóż to on taki ciekawy — mówił dalej stary — że pan go poznać chcesz?

— Pozwól pan, żebym mu się dalej nie tłumaczył — odparłem trochę żywiej. — Mogę się z nim widzieć?

— A toż go widzisz mój paniczku! widzisz go! Ja jestem koniuszy Sumin.

Cofnąłem się osłupiały o kilka kroków, nie mogąc pojąć, żeby ten człowiek miał być dziaduniem, któremu uporczywie wystawiał sobie bezsilnym, drżącym, sparaliżowanym starcem. Perora przygotowana na powitanie uleciała, słowa nie znalazłem w ustach.

— Jestem Jerzy Sumin! — wybąknąłem pomieszany zbliżając się z uszanowaniem.

— A! Juraś! Jurek! pan Jerzy! Ki djabeł! ktoby się spodziewał! ha! ha! ha! ha!

I stary rzucił mi się w objęcia.

— Jurko! daliipan! poczekaj! Ma rysy familijne! Szelma jestem, że ma! Hej! Malcowski! Janie! Pawle! Macieju! Służba! odwołać polowanie! Niech-że się natrzą: rażny, daliipan, chłopiec, tylko trochę wymokły! Otożem ci rad! Ale kie lichu zapędziło cię aż w poleskie lasy i bory?

— Przyjechałem umyślnie z Warszawy dla poznania kochanego dziada.

— Dziada! dziada! nie nazywaj-bo mnie tak waszeć; już lepiej koniuszym, czy jak sam sobie chcesz. Patrzaj go: umyślnie z Warszawy! Ani chybi, myśliwy być musisz i zachciało ci się polować.

— O nie!

— Jakto! nie jesteś myśliwym? a cóż?

— Na nieszczęście nie jestem, ale nim być mogę.

— O ba! nie łatwo! Ale siadajże i rozgość się.

Gdyśmy to mówili, służba w ogromnej liczbie gromadziła się u drzwi. Było coś patryarchalnego w jej fizjognomji poufalej i uśmiechniętej. Mój dziad wydał rozkazy, żeby natychmiast rzeczy moje znoszono na górę, a sam dobywszy kluczków na sarniej łapce z głębokiej kieszeni, otworzył szafeczkę, wyjął butel z gdańską wódką i kawał piernika.

— Strudzonym podróżą te kordjały służą — rzekł mrugając ku mnie — nie prawda? Do waszeci, panie Jerzy!

Kochany Edmundzie, rozpaczam, żebym ci resztę godnie potrafił opisać, a nadewszystko moje osłupienie, podziwienie co krok i głęboko uczuty zawód. Spodziewałem się nudzić, ale nigdy w ten sposób: myślałem, że znajdę bezsilnego starca, otoczonego wszystkimi wy-

godami życia, pielęgowanego, kaszlącego, poważnego : a wpadłem na poleskiego Nemroda, krzepkiego i silnego jak łoś, żywego i ruchawego, noszącego klucze w kieszeni, pijącego najjuńniej cztery razy wódeczkę, zającącego biges i kielbasę wędzoną, i siedm razy na tydzień jeżdżącego na polowanie na wózk, który od pierwszej próby takimi mnie kolkami obdarzył, że myślałem, iż umrę na miejscu.

Chcesz poznać pana koniuszego, miej jeszcze trochę cierpliwości i doczytaj list do końca. Zaraz pierwszego dnia (*aussitôt arrivé, aussitôt pendu*) musiałem jechać z nim i całym jego dworem na polowanie na łosie. Dano mi jakąś przedziwną gwintówkę, która musiała ważyć ze czterdzieści funtów, bo mi ramię od niej zcierpło; uziąblem, zakatarzyłem się, opilem prostej wódki (bo gdańska nie wyjeżdża na łowy), zakąsiłem zimną kielbasą, i powróciłem wieczorem, wśród śpiewu myśliwych, chórem intonujących :

Zając sobie leży pod miedzą...

O Boże! cóżto za kraj barbarzyński, jakie obyczaje! Na wieczerzę dano mi, przywykłemu do wytwornej kuchni Marego, potrawy jakieś starożytne, patryarchalne, o których wyobrażenia nie miałem. Podniebienie moje i ja osłupieliśmy z podziwienia. Wystaw sobie krupniczek z wędzonej gęsi, jakąś przedpotopową kaszę ze słoniną i pieczyście (dla mnie dodane) suche jak pauna M... A wino! a! a! Czemuż cię tem słodko-kwaśnem winem dni powszednich poczęstować nie mogę?! Był to garucami sprowadzany węgrynek z sąsiedniego miasteczka, który zbliżał się do osłodzonego octu. Nie dziwiłbym się, gdyby go w aptecznych butelkach z sygnałkami zamiast mikstury podawano. Pan koniuszy

dolewał a dolewał, jam spełniał przez grzeczność, i poszedłem spać z bólem głowy.

Umieszczono mnie „na górze“. Wystaw sobie ogromne dwa pokoje, zimne jak Syberja, ogromnie wysokie, bez podwójnych okien, bez firanek, bez okienic i z chwiejącą podłogą. Łóżko na czterech, z kotarą kwiecistą, której mole nie dojadły; stolik z odlamaną nogą, sześć krzeseł kulawych i powysiadywanych na wylot. Szczęściem na kominie trzeszczał ogień olbrzymi, cała kłoda olszowa.

Mój Stanisław wściekał się ze złości, nie wiedząc jak się rozpakować i gdzie się umieścić; ja znosilem, mogę to sobie powiedzieć bez pochlebstwa, jak anioł. Stary koniuszy sam mnie odprowadził, pomacał twardego materaca, uznał go za zbyt miękką dla młodego człowieka, pogrzał się trochę u komina, i odchodząc powiedział mi, że w tych paradnych pokojach stał przed laty pięćdziesiąt wojewoda Radziwiłł, który polował przez dni dziesięć w Turzej-Górze. Mógłbym mu powiedzieć, że mi niedogodnym było, czem się kontentował pan wojewoda?

Znaczyło to, że mi oddano co miało najlepszego: innych gości mieszczą na folwarku lub z pisarzem prowentowym, który grywa na skrzypcach. Stanisław ruszał ramionami i co chwila robił mi sceny. Rady sobie z nim dać nie mogłem. Latał za świecami woskowymi, których tutaj potrzeby nikt zrozumieć nie mógł, za tysiącami drobnostkami, których w tym domu z nazwiska nawet nie znano.

Ledwie go potrafił uprosić, żeby tej troskliwości położył tamę. Gdy przyszło kłaść się, słyszę go przeklinającego na nowo.

— Co ci jest? — zapytałem.

Stasiowi dano siennik słomą wypchany, zamiast materaca: biedak kłął z calych sił wieś i podróże.

— Panie! — wołał — wracajmy do Warszawy: do trzech dni kości tylko po nas ludzie zbierać będą. Ja nie pilem herbaty! Spać muszę na sienniku.

— Przywyknijemy — rzekłem z westchnieniem.

Tak minął pierwszy wieczór i niestety! niewiele inaczej dni następne. Musiałem w istocie przywyknąć do wszystkiego. Dziad, zdaje się pocziwy i dobry człowiek, ale my z nim nigdy się zroznać nie potrafimy. Polowanie, gospodarstwo, gawęda o dawnych czasach, spory z ludźmi o wiązkę słomy: to całe jego życie. Od lat kilkudziesięciu nie wyjrzał na świat: możesz miarkować, jak nie pojmuję, co się na nim dzieje.

Na mnie pogląda jak na dziwowisko, a co gorzej, czy doprawdy ma mnie za wielkiego pana, czy udaje, ale ciągle wypytuje mnie o moje dobra w Wielkopolsce. A te dobra, ty tylko wiesz, jak daleko odemnie!

Dotąd zbywam go ogólnikami: przyznać się do położenia mego nie śmiałem. Co się tyczy bogactw mego dziada, o tych już nie wiem co trzymać i jak myśleć. Majątek ogromny, a utyskiwanie ciągle na niedostatek jeszcze większe, o grosz zdaje się być trudno, oszczędność największa: złotówkę mają tu za rzecz wielką; dukat, który ofiarowałem faworytowi dziada, Malcowskiemu, oglądany był z podziwieniem i uszanowaniem. Widzę, że się podobno fałszywą pnąć drogą. Nic tu nie rozumiem: ani ich rachuby, ani życia, ani zajęć, ani stanu majątkowego. Spytałem: czy się bawią kiedy, czy mają sąsiedztwo?

— A! bawimy się doskonale — odparł pan koniuszy — polujemy cały rok: zwierza nie braknie. Co się tyczy

sąsiedztwa, to wyborne: najprzód najbliżsi, ksiądz proboszcz i unit paroch z żoną, wyborną kobieciną (mają ośmioro konsolacji); dalej pan podsędek, pan łowczy-cowicz, pan kapitan i t. d.

— A kobiety?

O towarzystwie kobiet podobno wyobrażenia nie mają, przynajmniej na moje pytanie kochany dziadunio odpowiedział najprzód ogromnie otwartemi usty, na znak podziwienia; potem, niiby skłopotany trochę, dodał żywo jakby zagadywał:

— Po kiego djaska z babami się wdawać, albo to nam samym z sobą źle? Dajby ich i na świecie nie było, toby się bez tego licha obeszło — dodał półżartem. Ale właści młodemu uśmiecha się niewieście towarzystwo! No! no! toć i to się u nas możeby znalazło. Są panie bardzo przyzwoite i wcale nieszeptne.

Niewiele więcej nad to, co piszę, dowiedzieć się mogłem; ale bądź spokojny, na listach ci moich zbywać nie będzie, a w nich dalszą peregrynację moją i przypadki nowego Robinsona czytać będziesz. Żegnam cię tymczasem z całego serca; pokłoń się odemnie Lorze, Maremu, a nawet Szmulowi, tylko mu nie mów gałganowi, gdzie mnie szukać, boby i tu gotów wysłać za mną. Bądź zdrow... do przyszłego listu.

II.

Panu Edmundowi Suszy w Warszawie.

Nowy-Świat, Nr. 1605.

Z Turzej-Góry, dnia 25. września.

Zaczynam się nareszcie obeznawać powoli ze światem, który mnie otacza, i przywykać do niego. Mieszkanie, jedzenie, zatrudnienia, nawet śmiertelne nudy przyswoiłem sobie po części. Nieszczęśliwy tylko mój Stanisław w ciągłej jest rozpacz, i najmniej pięć razy na dzień robi mi sceny niepojęte, wyszarpując sobie włosy z głowy i przeklinając to, co zowie bez ogródki szaleństwem. Pozawczoraj ziewałem właśnie kładąc się w owe obszerne łóż, które ci w krótkości w przeszłym liście opisałem, gdy napadł na mnie znówu z niewypowiedzianą gwałtownością. Pocziwy, nieopłacony Staś! on tn mnie jeden bawi.

— Panie! — zawołał z miną aktora teatru Wielkiego w melodramacie Skarbka — jakie są myśli i zamiary twoje?

— Myślę spać — odpowiedziałem zapalając cygaro.

— Pan mnie nie chcesz rozumieć!

— W istocie nie rozumiem.

— Co to z tego wszystkiego będzie?

— Ja nie wiem.

— A któż będzie wiedział?

Ruszyłem ramionami.

— Długo my tu jeszcze posiedzim?

— Dopóki nas nie wypędzą.

— Niech-że JW. pan — dodał kłaniając się — raczy mnie odprawić, bo ja tu żyć nie mogę.

Uśmiechnąłem się.

— A! dalibóg nie mogę — dodał. — Najprzód, że to czyste piekło; po wtóre, że ludzie cbytrzy i źli jak sto djabłów, a zdają się na pozór Bogu ducha winni; po trzecie, że tu taki ani żyć, ani gadać nie umieją, i przyjdzie z niedostatku, z nudy skonać.

— Delikatniejszy, widzę, jesteś odumnie?

— Ja nie wiem. i dziwuję się jak to pan znosi.

— Muszę.

— Panie! wracajmy do Warszawy, zaklinam pana na wszystko; my tu zginiemy. Lud dziki, życie osobliwsze, żadnej twarzy przyzwoitej, suknie, powozy, jadło, obyczaje azjatyckie, przedwieczne: to nie do wytrzymania. Pan nie widzi jak ja chudnę?

— Biedny Stasiu! gorączkujesz się i głowa ci się zawraca; trochę cierpliwości.

— Niech pan sam sądzi, niech pan sądzi, czy ja tu żyć, czy my tu żyć możemy? Naużeto, cośmy krocie zjedli w Berlinie, Poznaniu i Warszawie, wśród najlepszego towarzystwa, wśród najszumniejszych zabaw, wśród najwytworniejszego życia: namżeto tu rdzawieć i ginać tak marnie?

— Dlaczegoż ginać mamy? — rzekłem po cichu.

— Ja pana nie rozumiem i zazdroszczę, że pan tak się łatwo ze wszystkiem oswoić umiesz; ale ja, prosty sługa, mrę panie, mrę: w ostatku i czytać nawet nie mam co. Mrę panie!

— Biedny Staś! Trucizny ci jednak nie dali, spodziewam się.

— Co dzień mi ją dają: choruję od ich wódki, jadła, od posłania, od towarzystwa, od powietrza. Pan nie czuje, jak tu powietrze przesyczone smolnym dymem? Wczoraj

chodzioem do miasteczka, szukając, czy gdzie ludzkiej twarzy nie ujrzę: ach! okropności!

— Cóżś widział?

— Poczwary, panie! Wie pan, że tutejsze kobiety, ba! warszawskie przekupki podobniejsze od nich do kobiet; tyle tylko, że na czterech nogach nie chodzą.

— A! wiem, to ci tu tak, babiarzu nieznośny, ładnych twarzyczek braknie.

— Jaśnie panie! — prostując się rzekł Staś — nie kobiet, ale *przyzwoitego towarzystwa*.

Rozśmiałem się na cale gardło. Staś dodał:

— Niech ich wszyscy djabli porwą! — I odszedł.

Zasnąłem rozweselony jego gawędą, której ci tu tylko cząstkę gorszą wypisałem.

Chciałbym ci w niniejszym skrypcie (jak widzisz ucze się miejscowego języka) przesłać dopełnienie moich obserwacji nad dziadem i krajem, w którym zamieszkałem: ale nie jeszcze z obojga nie rozumiem. Największą dla mnie dekonfiguracją jest, że bogactwa pana koniuszego pojąć nie mogę: wszyscy mówią, że bogaty, wiem sam, że ogromne dobra do niego należą, długów nie ma, lub jeśli je ma, to małoznaczące; a tu z bliska przysłuchując się, przypatrując mu się, widzę niezrozumiałą oszczędność, do skąpstwa posunioną, słyszę same tylko narzekania na ciężkie czasy. Jest zapewne klucz do tej zagadki jakiś, którego ja nie mam jeszcze.

Nigdzie znaku zamożności, tak jak ja ją pojmuję, wszędzie dla mnie zakryte i dziwne rzeczy. Jeżdżąc z dziadem na polowania, widziałem mnóstwo jakichś niby ponachylanych ogromnych budowli, stojących po polach. Pytałem go co to jest? odpowiedział mi z uśmiechem, pocierając czuprynę:

— He! dalibóg nie dowidzisz czy co? toć to sterty.

— A cóż to sterta? — spytałem.

Koniuszy śmiał się do rozpuku i odpowiedział, po-
legając na wózku:

— Dobry będzie gospodarz! Jest to skład zboża
w pośród pola.

— Dlaczegoż tyle tego?

— Zapas, paniczku, zapas!

Liczyłem tego zapasu kilka dziesiątków i ośmieliłem
się potem zapytać dziada, czemu narzekając ciągle na
czasy i ciężkość w dostaniu grosza, nie sprzedaje choć
części swych ogromnych zapasów.

— Cóż to ja bankrut, czy co? żeby mi się z zapasów
wyprzedawał! — zawołał z oburzeniem.

Patrzaj-że! grosza u nich nie widać, wzdychają, na-
rzekają, ledwie się zjedzą, o czym innemu nie mówią
tylko o ciężkich czasach, kupców nie braknie: a zboże
gnije na polu i myszy go jedzą. W tem być musi jakaś
tajemnica! Dem mojego dziada nie wiem czybyś pojął,
gdybym ci go opisał szczegółowo; ja zaś nie pomógłbym
ci pewnie do rozwiązania tej edypowej zagadki.

Wystaw sobie życie tak urządzone, uregulowane,
uporządkowane, że właściwy element tego, co u nas jest
życiem, to jest ruch, ognia, wcale tu nie wchodzi do
składu, owszem odsuwany jest jak najtroskliwiej. Pan
koniuszy mówił mi na przykład, że w roku przeszłym
proponowano mu poprowadzić przez Turzą-Górę trakt
pocztowy, co by było ożywiło okolicę, może ją nawet
zbogaciło. Cóż na to powiesz?... odmówił. — A mnie to
na co? odparł, żeby mi tu wrzawy, zgiełk i cudzych
ludzi a nieproszonych gości trakt napędził? Nie chcę
ja tego! — Wczorajszy dzień jest też prawodawcą jutra:

ludzie, rzeczy, mowa, obyczaje, pojęcia, wszystko zostało wczorajsze lub pozawczorajsze. Onegdaj znaczy tu czasem przed kilką laty.

Zaczawszy od koni, które ubierają w chomaty XVII. wieku, aż do paradnych palonych z kutasami butów mojego dziada, wszystko nie dzisiejsze. Brzydzą się dniem, w którym żyją, i wszelką nowostką jak grzechem; chcieliby czas za poly przytrzymać, gdyby czas miał poly, a najsmaczniejby im było cofnąć się do Sasów.

Bogaci, nie używają!

Najwieksza skrzetność panuje w domu; dziadunio nosi ważniejsze klucze przy sobie, mniej tylko ważne powierzają się Malcowskiemu, wszelkie inne wieczorem odnoszą się do pana i wieszają na przeznaczonym kołku w sypialnym pokoju. W mieszkaniu nie uczuli potrzeby nic odmienić, nic poprawić od lat kilkunastu: dziury tylko, które czas chudemi łokciami wybija, zatykają. Noszą się jak się nosili od wieków; nowość, ten element naszego życia, dla nich jest grzechem i najwstrętliwszem zjawiskiem. Pomnijże, jeśli możesz, jak mnie tu jest!

Nie umiem mówić ich językiem, obrócić się wedle tutejszego obyczaju. Albo oni się ze mnie śmieją, albo ja się im dziwię, bo śmiać się nie mogę, a raczej nie chcę. Dziadunio serdeczny, ale powoli zaczyna mnie brać na konfesatę; nadewszystko o moje wielkie dobra tak się troskliwie dopytuje od niejakiego czasu, że zaczynam się mieszać.

Jeśli mię przyprze raz jeszcze, to mu się całkiem wypowiadam. Gościnny bardzo i szczerze radby mnie zabawić, ale biorąc na rozum i wymyślając coraz co nowego, nie umie nic innego nad coraz inne ułożyć polowanie.

Jakkolwiek jestem przygotowany na wszystko, nie przewiduję, żebym tu, co się nazywa, żyć i wyżyć potrafił. Ale że zawsze czas sobie w łeb wypalić, mogę z tem jeszcze poczekać, choćby przez ciekawość, bo mnie to ich życie drażni, istotnie jak nierozpłątana zagadka. Bądź mi zdrów i szczęśliwy! Żegnam cię do przyszłej poczty.

Twój Jerzy.

P. S. Ze łzami w oczach czytam tu starego przeszlorocznego *Kurjerka Warszawskiego*, w którego kilka numerów lakierowane buty moje obwinięte były. Ma on dla mnie urok niewypowiedziany: opowiada mi przeszłość, choć nie w wyszukanych wyrazach, ale zawsze i to odłamek przeszłości. Dobrze i to... A! nieoceniony *Kurjer*! Co za styl! jaka rozmaitość przedmiotów! ile dowcipu w zagadkach! ile charakteru w ogłoszeniach! jak w nim promienieje Warszawa, jak z niego bije jej życie!

Wystaw sobie, że mi cygar zabrakło! Tytoniu nawet nie ma: wyprawiono za nim piechotnego posłańca o sześć czy dziesięć mil; i palę tymczasem, dla nieszczęśliwego nalogu, coś, co tu nazywają Zalibockim (Zabijackim raczej). Umarłbyś powąchawszy. Trucizna! Do czego to nałóg prowadzi!! Staś stał mi się milezący i ponury, a w dodatku butów nie czyści, dowodząc, że na Polesiu rzecz to jest całkiem niepotrzebna.

III.

Kochany Munciu!

Nareszcie zaczynam poznawać tutejsze sąsiedztwo: był wczoraj pan kapitan. Winszuj mi poznania kapitana!

Wyobrażałem sobie coś wojskowego, jakąś figurę z powieści, Napoleonistę lub tym podobnie: zawiodłem się szkaradnie. Wystaw sobie figurę ubraną tak jak się rzeźmieślnicy na Pradze nie noszą, w szaraczkowych wytartych sukniach, bładą, zwiedłą, a klanającą się do kolan prawie panu koniuszemu, a pokorną aż do szyderstwa prawie, a pochlebiającą do impertynencji i gadatliwą jak młyn. Wystaw sobie takiego gościa, któremubym ja niechybnie, gdzieindziej go spotkawszy, dał dwa złote jałmużny, przyjmowanego przez mojego dziada najuprzejmiej, sadzanego na najpierwszem miejscu, traktowanego z pretensją, bawionego troskliwie przez cały czas bytności. Koniuszy kapitanowi, ani kapitan koniuszemu, nie żalowali wzajemnie ani *dobrodzieja*, ani *całuje nóżki*; wszak to nic nie kosztuje. Pomimo to, zdawali się, jeśli się nie mylę, szydzić z siebie wzajemnie z wielką grzecznością.

Ale muszę ci przecie kategorycznie opisać ten pierwszy kwiatek, który tu znalazłem na pustyni, determinując go jak botanicy determinują znalezione rośliny. Wzrost łokci dwa, cali... (do następującego listu rozmiar dokładny), chudy, snuchy, ręce długie, zakończone ogromnemi palczyskami, nogi potężne, grzbiet trochę wygarbiony, głowa podlysiała, siwowata, oczy szare, śmiejące się i chytro strzelające ukradkiem, wąs oznaczający kapitaństwo, ale zaniedbany zupełnie, jak zielsko pod plotem, rosnący pod nosem. Nie jest to wąs ów ukończany i placący za miłość ozdobą twarzy, ale prosty tylko ciekawiec, co zagląda do potraw i stara się okruszyny objadu przyswoić sobie. Twarz wynokła, policzki wpadłe... Wiek, jak wnoszę, równać się musi latom mojego dziada. Ubranie szaraczkowe, kamizelka ze starej

podobno wykrojona kołdry, tabakierka w kieszeni, paciorkowy łańcuszek od tombakowego zegarka, kapciuch na guziku od kapoty zawieszony, zszyty z trójkątnych różnej barwy galganków.

Masz kapitana: niech ci go Brodowski lub Norwid odrysuje. Ale czego żaden z nich nie zinwentuje nie widząc, to wyrazu twarzy. Co to za pokora chytra! jakie spłaszczenie pocieszne, jakiego coś cudownie lisiego! Dziadunio mój zdumiał mnie, na wyścigi z nim upokarzając się i zniżając. Bawił kochany sąsiad i dobrodziej do zmroku; odjechał prostym wózkiem i trzema lichemi szkapkami. Za woźnicę i kamerdynera służył mu prosty chłopak w siermiedze, z fajeczką poufale w gębę włożoną przed gankiem. Gdy odjechał, rzekłem do koniuszego:

— Cóż to za biedna i niepozorna figura! Musi to być ubogi szlachciec?

Dziad mój parsknął od śmiechu.

— Znowu *sterta* — rzekł, gdyż moje omyłki zwykł był nazywać *stertami*. — On biedny! on ubogi! Tak to waćpanowie Warszawiacy na ludziach się znacie!

Otwarłem wielkie oczy.

— Kapitan z całą pokorą swoją, mości panie, jest najtwardszym orzechem do zgryzienia dla sąsiadów, a siedzi na pieniądzach! To Krezus, panie, bogacz!

— Bogacz!!! — osłupiałem.

— Ma zapewne familję, dla której tak poświęcając się, zbiera.

— Miał żonę, ma syna, ale ten wojskowo służy, nie odbierając z domu. Mieszka sam stary sknera!

Po tym wykrzykniku nastąpiło milczenie, westchnienie i ponury jakiś błysk oczu, który pierwszy raz u dziada

mego spotkałem. Nie pojmowałem co to miało znaczyć, gdy natychmiast rozweseliwszy się stary, dodał:

— Oho! nie zje mnie w kaszy!

— Kto? — spytałem naiwnie.

— A zacy pan kapitan! Ale waćpan nic nie wiesz?

— Tak jest, najzupełniej nic; i nietylko żem się nie spodziewał, aby pan koniuszy i kapitan jeść się mieli, ale sądziłem z przyjęcia i obejścia wnosząc, że sie serdecznie kochają.

Stary po swojemu parsknął i poprawił czupryny.

— Cierpliwości! — zawołał, wpół mówiąc do siebie — *labor omnia vincit...* Widzisz, że i z łaciną kiepską popisać się mogę. Nie, nie zje nas pan kapitan!

— Ale dlaczegożby i z jakiego powodu miał ostrzyć zęby?

— Waćpan bo nic nie wiesz — powtórzył mój dziad — a tu ogromne rzeczy za pasem.

— Na Polesiu, kochany panie koniuszy, co dzieć się przekonywam, że nic nie wiem, bo nic zrozumieć nie mogę: inni ludzie, inne życie, stosunki nowe.

Stary spojrzal mi w oczy, pocałował w czoło, jakby na podziękowanie, żem tak paradnie głupi, i śmiejąc się dodał:

— *O sancta simplicitas!* Zje diabła, nie mnie!

— Czekam nauki i wiadomości — szepnąłem.

— A! trzebaż waści wytłumaczyć co się tu święci! — mówił i patrzył mi w oczy, jakby mi je chciał zamalować. — Masz tedy wiedzieć, że kapitan jest najpaskudniejszym plugastwem, jakie ziemia nosi i słońce ogrzewa. Na ucho ci nawet mogę powiedzieć, że szelma...

— Tak dalece?

— Tak jest! tak! — mówił dziad mój, oczywiście się

rozpalając. — Nie znam gorszego człowieka! Wystaw sobie, taki jucha! Wlaźł mi ze swoją wioścyną pod sam bok, i myśli mnie zmusić do procesu: usiłuje wwikłać w sprawę, aby lasu i łąk od Turzej-Góry do swojego kawalka tam wydrzeć. I jam też nie w ciemie bity! Chciałem koniecznie, uprzedzając go, kupić tę lichotę, ale ten niepocziwy Drzazgiewicz mnie zdradził: wziął pewnie kubana od niego, choć to on nie skory do datku. Ja mu to zapłacę Drzazgiewiczowi: na wszystko jest czas. Otoż, jak tylko kupił, poczał zaraz o granicę mnie zaczepiać. Ja, milując pokój, trzymam się *defensive* tylko. Jak przyjdzie pora, że się burza zbierze, naówczas, no! co robić, pogramy!

W oczach pana koniuszego, gdy wymawiał ten wyraz, błysła jakby tajona radość. Nie wiem, ale mi się zdaje, że zajście z kapitanem dawniejsze i sroźsze być musi, niż pan koniuszy powiada. Lecz któż wie? może z taką rozkoszą w istocie wygląda procesu. Wśród tej nieczynności, jednostajności i braku zajęcia, kto wie, gdyby i mnie tu posadzono, możebym, urozmaicając polowanie, poczał na sąsiedzką spokojność polować. Jest to silna rozrywka.

Koniuszy tak dalej prawil, ze szczególną usilnością, starając się, jak uważałem, przekonać mnie, że mówił mi prawdę całą.

— Otóż widzisz, płaszczy się, grzeczności mi sypie, ja w tąż. Przysyła mi zwierzyne, ja jemu, jeździm wzajemnie z powinszowaniem imienin, i ślicznie, pięknie ściskamy się, całujemy się, aż za uszami trzeszcze. Z tem wszystkiem czuję, że proces wisi nad nami.

— Więcby wcześniej zapobiedz.

— Po co? i owszem, musimy się przecie raz w życiu zetrzeć.

Z tych słów patrzyła jakaś tajemnica, ale spostrzegł się prędko pan koniuszy, i zagadał, choć niezręcznie.

Otoż jedna z tajemnic ich życia: proces!

Ha! wszakito gra hazardowna, nic więcej. W prostocie ducha, nie znając *lansquenel'a*, puszczają się w pozwy. Druga, trzecia instancja, to *parole, sellevy i quinzelevy*; senat *quite ou double!* Tylko my gramy na tysiączki, oni na krocie... to rozumiem nareszcie. Wszędzie człowiek człowiekiem. Tymczasem śmiertelnie tu z nimi nudno.

Pomimo niemożności powrotu do Warszawy i zdesperowanego położenia mojego, przemyślałem już co począć z sobą. Jeszcze kilka tygodni, a najdalej kilka miesięcy, nie poznasz mnie, kochany Munciu: snukie moje wyjdą z mody, ja sam zparafianięję, zestarzeję, zgłupięję...

W pierwszym liście nie zapomnij poradzić mi, co mam począć z sobą. Ten przeklęty Staś wmówił mi podobno nareszcie, że heroiczna kuracja poleska gorsza od choroby, od wierzycieli, od więzienia za długi. A! ratuj twójego

Jerzego.

IV.

Panu Edmundowi Suszy w Warszawie.

Z Turzej-Góry, dnia 20. listopada.

Dziś właśnie, według rachuby Stasia, dwa miesiące upływa, jak zawitałem w gościnne progi koniuszego, a miesiąc podobno, kochany Munciu, jak listu nie miałeś

odemnie. Ty się tam łatwo bez niego obejść możesz, bo w mieście tak prędko człowiek człowieka zaciera, tak się rychło zapomina o wczorajszym przyjacielu dla dzisiejszego!

Ale jak się ty tam dziwować musisz, że ja nic nie piszę, ja, com miał ze śmiertelnej nudy zarzucać cię nieustannemi listami!

Wiele-bo też rzeczy zmieniło się od przybycia mego, i twój Jerzy także. Tak, tak! miesiąc ostatni wpłynął na mnie i wpłynie może na całą przyszłość moją. Posłuchaj tylko, kochany Munciu.

Mógłbym rozpocząć opowiadanie, przeistaczając ten wiersz Szekspira o wielu rzeczach na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom, i powiedzieć, że na Polesiu jest wiele a wiele rzeczy, o których się nam, filozofom bruku warszawskiego, ani śniło. *Terra incognita*, której ja będę Kolumbem!

We dwa dni po odwiedzinach kapitana, o których w ostatnim liście (jeśli dobrze pamiętam) coś ci podobno wspomniałem, odebraliśmy listy, dziad mój i ja, tak jest, *ja także!* od pana kapitana, z zaproszeniem na polowanie na losie i sarny. Pan koninszy pomyślawszy nad kopertą i podpisem obu pism, i pilnie poszukując, czy mu kapitan w czem nie uchybił, zgodził się na to ze mną, że zaproszeniu odmówić nie można. Chciał mnie z początku wyprawić samego, ale zlitowawszy się potem i pomiarkowawszy, że w delikatnych okolicznościach, w jakich z kapitanem zostawał, należało bardzo bacznie postępować i niczem go nie obrażać: postanowił sam także towarzyszyć mi do Kurzyłówki.

Przyznaj, że wioseczka ślicznie się nazywa. Cóżbym dał za to, żebyś ją mógł zobaczyć! Jest to Polesie nad

Polesiami, dziura i kąt tak zapadły, tak brzydki, tak pusty, tak okropny, że obraz, gdybym ci go zdjął daguerrotypem, zdalby ci się piekielnym znudzonego wędrowca wymysłem. Dante nie znał widać naszego kraju: byłby go użył do swojego piekła i osadził w tym kompartmentcie tych, co się za życia zbyt wiele za nowością ubiegali. Wystaw sobie chaty na pól w piasku, piasek otoczony błotem, błoto otoczone nudnym i brzydkim lasem, las otoczony piaskiem, i tak dalej a dalej. Wzdłuż błot i lasów wąskie a kręte drożyny, po których tylko jeżdżą budnicy i chłopi, korzeniami sosen i jakimiś patykami wymoszczone, które przejechawszy, chorować musisz koniecznie. Groble nieskończonej długości, mosty podarte jak stare rękawiczki, jamy, brudy, dziury, grzęzawice i t. d. Przez to wszystko jechać potrzeba do zacnego kapitana: a to się jeszcze nazywa wielkim traktem handlowym. Niekiedy pół dnia jedziesz i ludzkiej nie spotkasz twarzy, a chłopa, co cię wita, łatwo możesz wziąć za niedźwiedzia... Pustynia! Sahara!

Wioska przyparta z jednej strony do błota, z drugiej do piasku, zarosłego sośniną krzakowatą, czarna, okopcona, uwędzona w dymie, smutna; ludzie w niej *idealny* nędzy i opuszczenia! Kobiety chodzą w jakichś czepcach, nawiązanych na wysokim łubku, czarnych od dymu, który tu zastępuje powietrze, a z pod chusty wymykają się włosy nigdy nie czesane. Umywają się tylko na wielkie święta; mają postać jakąś dzikich Indian. Wszystko co żyje chowa się, i tylko z za węglów na podróżnych oglądać odważa się.

Za wsią stoi dwór, otoczony sadem i drzewami, niski, o czterech okienkach, oparkaniony wysoko, z bramą, która się nigdy nie zamyka. Obok niego gumna, sto-

doly, stajnie, obory: wszystko na jednym prawie dziedzińcu i skupione w całość. Cztery chude charty i stary pokurć z osmalonym bokiem a powyszarpywanemi uszami witały nas w ganku, oprócz gospodarza, kłaniającego się do ziemi i dziękującego z wylaniem za szczęście, za honor, za łaskawe względy, któremiśmy zaszczycić go raczyli, które, jak się wyrażał, miały być wiecznem wspomnieniem ubogiej jego chatki i pociechą dni jego starości. Nigdy się nie spodziewał, żebym mógł tak kogo moją osobą uszczęśliwić!

Z towarzyszeniem tysiąca tym podobnych grzeczności hyperbolicznych, które bardzo zakrawały na żarty... a jednak pan koniuszy na nie z największą łatwością oddawał kapitanowi w dwójnasób tąż samą monetą... weszliśmy na prawo do czystej izby, wysypanej siekaną jedlinką. Dla mnie był to krok niefortunny: potknąłem się na progu wysokim i stuknąłem głową o drzwi niskie.

Dwa stoly, dwie skrzynie, cztery wytłoczone twarde krzeselka, komin obielony na naszą intencję, z samowarem dla ozdoby, na belce jakieś symboliczne znaki i krzyże, po ścianach obrazki Pana Jezusa Boremelskiego, Milatyńskiego, Lwowskiego (miałem czas się przypatrzeć), Najświętszej Panny Chełmskiej, Sokalskiej, Poczajowskiej i Podkamienieckiej; w kątku warcabnica na małym stoliczku: oto cały salon bawialny. Z niego tuż sypialna komnata kapitana, do której żeśmy nie zaglądali, nie opiszę ci jej. Dziewka ogromnie tłusta i bosy służalec przyjmowali nas śniadaniem, które gotowano naprzeciwko w piekarni: gorące też przychodziło na stół. Po niem puściliśmy się na polowanie i twój Jerzy miał szczęście zabić ogromnego łosia.

Nie wiem, czy ten dowód zręczności, czy inna jaka

przyczyna szczególnym afektem ku mnie natchnęła kapitana. Nadskakujący był, ożywiony, pełen grzeczności; bawił mnie rozmową aż do utrudzenia. Kilka razy jednak wspomniał moje dobra w Księstwie Poznańskim (o których nie pojmuję z kąd się mógł dowiedzieć), a wspomniał je ze znaczącym półuśmiechem, który nie uszedł baczności koniuszego.

Gdy po raz trzeci czy czwarty o tych dobrach rozmowę poczynął, z widocznym zamiarem albo upokorzenia mnie, albo wyrwania ze mnie słowa, dziadunio odezwał się z uśmiechem, doskonale odegranym:

— Nie wspominajcież o tych dobrach, panie kapitanie, bo możecie przykrość zrobić *niechcący* mojemu kochanemu Jurasowi. Wszakże wiecie zapewne, że z powodu procesu i kłopotów z niego wynikłych, tak prawie jak rzec się ich musiał.

To odezwanie się dziada zdziwilo mnie niepojętym sposobem. Stary więc wszystko już wiedział! Ale z kąd? ale jak? ale dlaczego aż teraz się z tem wydał dopiero?

Kapitan pokręcił węża i nalał wina w kieliszki, pijąc za nasze zdrowie.

Rozmawialiśmy o polowaniu; ku wieczorowi kapitan uniżenie zaprosił nas jeszcze na herbatę, zatrzymał dłużej niżeliśmy chcieli.

— Odwiedzając szanownego krewnego — rzekł do mnie — zechcesz pan zapewne poznać i sąsiedztwo?

— Tak! tak! — podchwycił mój dziad żywo — zapewne! zapewne!

Widoczna była, że chciał odwrócić rozmowę. To może stało się powodem, że kapitan uparcie starał się ją utrzymać.

— Mamy tu domy bardzo miłe — dodał uśmiechając się.

— A na czele dom, w którym mamy przyjemność być teraz, zaliczam! — przerwał pan koniuszy z polityką.

— Moja biedna hacina, którą panowie raczycie swoją bytnością zaszczycać, tego nazwiska nawet niegodna; ale...

— Czy nie czasby nam jechać, panie Jerzy?

— Na Boga! nie puszczę! — zakrzyczał, porywając się kapitan. — Konie nawet nie zaszyły. Wracając do poprzedzającego, najprzód liczę dom...

— Grasz w warcaby, panie kapitanie? grasz pan w warcaby? — zapytał dziad mój, zmieszany widocznie.

Kapitan podskoczył, wyciągnął z kąta warcabnicę, ale nie spuszczaając mnie z oka, mówił nie przerywając:

— Dom pana Graby...

— Zaczynamy, kapitanie...

— Zaczynamy... Ciekawy dom zaiste!

— W istocie... Na pana kolej jazdy.

— Pojechałem... Warto, żebyś pan odwiedził sąsiedztwo: najprzód tedy dom pana Graby, którego my tu powszechnie zwiemy Dziwakiem; powtóre... — Tu obrócił się do pana koniuszego z zapytaniem:

— Wszak i panna Irena mieszka ciągle na wsi teraz? pańska pupila?

To mówiąc, oba zmierzyli się wzrokiem, jak gdyby pożreć się mieli, a dziad mój otwarte usta zamknął, spuścił oczy i cały się zajął warcabami.

— Liczę więc — prowadził dalej kapitan — dom pana Graby, pannę Irenę, dom państwa Dudyczów...

— To już nie sąsiedztwo — rzekł mój dziad.

— Liczy się przecie za sąsiedztwo nasze, mil cze-rech z Turzej-Góry nie ma; a co do Rumianej, do

panny *Ireny pańskiej pupili* — dodał z przyciskiem — paleko nawet bliżej.

Koniuszy milczał, ale gryzł w ustach podjętą z szachownicy warcabę kościaną; kapitan mówił ciągle:

— Tym sposobem kochany dziad a szanowny sąsiad mój, któryby zanego wnuka chciał zapewne jak najdłużej u siebie zatrzymać, będzie się cieszył pobytom jego. Uprzejmniając chwile poznaniem sąsiedztwa, a zwłaszcza panny Ireny, pupili koniuszego, pan zapewne nie prędko nas porzucisz. W Turzej-Górze tak światowemu kawalerowi, jakkolwiek miło, mogłoby się przecie zateśnić: młodzi potrzebują młodych.

Wyznam ci, że to uparte wspomnienie jakiejś panny Ireny, a upartsze jeszcze o niej milczenie pana koniuszego, mocno mnie zaciekawiło. Kapitan dokończywszy, spojrzał na mojego dziada, który milcząc gryzł warcabę, i nareszcie rzekł z przyciskiem:

— A jakże! a jakże! poznamy sąsiedztwo: pana Grabę i pannę Irenę, i państwa Dudyczów, i co żyje dokoła poznamy.

— Kiedy tak, toby już i o familji, choć ubogiej, zapomnieć nie wypadało.

— A jakże, mości dobrodzieju! a jakże — dodał dziad czerwieniąc się i posuwając na krześle — poznamy i familję, wszystkich poznamy, co do nogi.

Ja dotąd nie wiedziałem o familji, którą tu mieliśmy, i pan koniuszy o niej mi wprzód nie wspominał. Zdziwiony spytałem o nią.

— Zapominasz się, kochany Jerzy — odpowiedział stary, obracając się ku mnie i odchrząkując z pewnym przyciskiem — wczoraj jeszcze wieczorem mówiliśmy o nich...

— A! to o nich mówi pan kapitan — zawolałem, widząc, że dziad mój każe mi grać komedję, i natychmiast posłusznie przyjmując rolę moją. — Właśnieśmy się do nich wybierali.

Kapitan spojrzał na nas po kolei i zamilkł.

Wkrótce potem, pożegnawszy go serdecznie i po pięć razy przynajmniej, przy stoliku, u progu, w sieniach, na ganku, na stopniu bryczki i w bryczce, powtórzywszy serdeczne dzięki, odjechaliśmy z moim dziadem.

Pan koniuszy do pół drogi milczał jak zabity, sapał tylko ze złego humoru, aż nareszcie, jakby mimowoli, wyrwało mu się:

— Zjesz djabła! zjesz djabła!

— Już ciż nie ja? — spytałem go, śmiejąc się.

— A! a! to waść! — zdawał się przebudzać. — Posłuchajno — rzekł — ten łotr kapitan wyzwał nas na to szelmowskie polowanie, żeby się dowoli z nas nakpić.

— Wszystko to być może.

— Jak na dłoni! Posłuchaj, czas pomówić otwarcie.

— Zawsze mówię otwarcie.

— Ba! człowiek nawet otwarcie czasem mówiąc, kłamie, ale my między sobą, rozumiesz, z serca do serca. Czy to prawda, żeś stracił cały majątek?

Tak nagle i niespodziane pytanie zmieszało mię.

— Zkądże ta wiadomość? — spytałem.

— Zkąd ona jest to jest, ale czy prawdziwa?

— Nie mam się z tem co tać: ubóstwo nie hańbi.

— Tak, to pewna, moje serce, ale bezrząd i marnotrawstwo nie zdobi człowieka. Mów-że mi prawdę!

— Jeżeli stracił — odrzekłem z pewną dumą, ubodnięty tonem, z jakim to mówił pan koniuszy — jeżeli stracił, to własne moje i nikogo o nic nie proszę.

— A! facecjonat z waści, jak widzę. Straciłeś nie swoje, nie zapracowane, ale to ci rodzice, w pocie czoła pracując, uzbierali i zostawili. Po wtóre, nie prosisz dotąd, ale cóż poczniesz, gdy ci się i ostatka przebierze? he! gadaj-bo-no szczerze i bez fafrów. Jesteś gagatek do niczego, tylko do salonu i miasta, zjeść, wypić i pohulać; ale jak przyjdzie pracować?! Powiedzże-no mi, kochanku, co ty myślisz robić z sobą?

Zdumiony, przybity, milczałem.

— Mów, kochany Jurku, mów! — dodał dziadunio. — Już ciż nie będziesz siedział w Turzej-Górze, rachując na moją śmierć, bo to i nie ładnie, i znndziłbyś się, bo ja nie prędko umrę.

— Panie koniuszy! — zawołałem — nadużywacie swego położenia: to się nie godzi!

— Ale dajże mi pokój z komedjami! mów bez ogródki co myślisz. No! ożenić się bogato?

— Chociażby — rzekłem — ale pewnie nikomu na ręce patrzeć nie będę i nikogo o nic nie poproszę.

— Wolisz się ożenić dla pieniędzy!

Dziadunio nielitościwie parsknął.

— At! porzućmy te facecje — rzekł — mówmy szczerze. Waćpan słyszałeś, żem bogaty, przyjechałeś tu spodziewając się czegoś odemnie. Zobaczywszy szlachciurę nie-poczesnego a dziwaka, nie wiesz teraz co począć, nie-prawdaż?

— Będę milczał, panie koniuszy, bo mnie obnrzenie dławi; nie umiem na to odpowiedzieć.

— Milcz kochanku, to już ja reszty dopowiem, jeśli chcesz.

Rozpocząwszy w ten sposób, z żywością i tonem,

jakiego dotąd względem mnie nigdy nie przybierał, tak kończył dalej:

— Chcę wiedzieć, co jeszcze masz, panie Jerzy, aby ci, jeśli można, poradzić. Nie myślę, żebyś się tu bardzo bawił z nami wieśniakami; zobaczmy co dla ciebie zrobić można.

— To zuaczy, że pan koniuszy jakimkolwiek kosztem chcesz mnie się pozbyć — odpowiedziałem. — Nic łatwiejszego, nie proszę o nic, a jutro odjadę.

Mówiąc to, sam dobrze nie wiedziałem dokądbym mógł odjechać: w dziwnym natłoku myśli, Kaukaz i Algier, Hiszpanja i Ameryka z kolei mi się ukazywały.

Dziad mój, nie zmieszany, ruszył ramionami i spytał:

— Panie Jerzy, czy waćpan masz mnie już za takiego samoluba, co iskry życzliwości nie ma w sercu? Ja cię nie odprawiam, ja się ciebie nie pozbywam. Ale — dodał klnąc — to ten łajdak, z pozwoleniem, kapitan wszystkiemu winien: żółć mi się rozlała. Słuchaj-że niech dopowiem. Nie będę tał, że mam tu krewnych, mam powinowatych, mam różne osoby, dla których w ciągu życia zaciągnąłem obowiązki: majątek mój w większej części ma już przeznaczenie...

— Ale na Boga! panie koniuszy, któż pyta o majątek, któż się do niego wdziera?

Znów ruszył ramionami, uderzył się niecierpliwie po kolanach i zawołał:

— Słuchaj-że, do kroćset djabłów! panie Jerzy. Zróbże choć to dla dziada, żebyś mu się dał wygadać.

Zamilkłem; on ciągnął dalej:

— Przecież nie myślę zupełnie wydziedziczać pana Jerzego: zostawię ci pamiątkę, to pewna. Wiem, że mnie nie zrozumiesz, gdy ci powiem, że serdecznie ko-

chając w tobie krew własną, pragnę cię jednak ztąd się pozbyć. Mocno życzę, żebyś gdzieindziej obrał stanowisko rekołekcyjne. Nie nmiem ci się z tego wytłumaczyć, lub nie chcę, nie potrafię się z tego wyplatać: posądzić mnie musisz o coś. No! do kroć kaduków! myśl już sobie co chcesz, kocham cię, jak zbawienia pragnę, no, a radbym, żebyś sobie ztąd jak najprędzej jechał.

Oslupiałem, ale nie miałem siły gniewać się na starego; wrzało coś w nim, jakaś myśl, jakaś. powiem, namiętność, której natury dociec nie mogłem. Całe jego postępowanie nglą dla mnie było pokryte.

Jego glucha walka z kapitanem, niepokój, obawy niepojęte i wiele tajemniczych w domu postępów, oznajmywały mi, że po za szrankami życia, które znałem, było coś zakrytego, dla mnie nie dojrzanego a ciekawego; nie bez urazy wszakże, ale ze śmiechem przyjąłem to oświadczenie, mówiąc tylko:

— Jutro jadę, panie koniuszy.

— Ba! jutro jadę, nie wiedzieć dokąd, z gniewem w sercu: tego ja nie chcę. Ale dalipan, ba! cóż robić, powiedz-bo mi szczerze — ścisnął mnie za ręce — co ci się zostało?

Kończąc tę rozmowę, dojeżdżaliśmy do karczmy, z której światło nagle padło na twarz starego, i ujrzałem ją tak dziwnie zmienioną, tak przewróconą, że m się zadziwił niepomału.

— Cóż panu koniuszemu przyjdzie ztąd—odparłem— jeśli o tem wiedzieć będziesz? Co do mnie, bądź pewien, że nie przyjmuję nic dlatego właśnie, iż wołałbym żebrać u obcych, niż być posądzonym o chciwość, in-teresowność, której nie miałem nigdy w sercu. Chcesz

pan koniuszy wiedzieć, dlaczego przyjechałem tu?... bo nie miałem gdzie się schronić, nie tylko od wierzących moich, ale od wspomnień własnego życia, od zmarnowanej może młodości i wyrzutów sumienia. Świat szeroki!

Pan koniuszy zgrzytnął zębami.

— Jest w nim dusza — szepnął — ale cóż? statku nie ma, głowy nie ma, nie! nie!

Mówiąc to, znowu obrócił się ku mnie.

— Słuchaj, panie Jerzy — rzekł stanowczo — jeśli mi ty tę hańbę zrobisz, że mnie w tym gniewie porzucisz ze wzgardą: klę się na honor i uczciwość, że pojedam za tobą, i będę jeździł jak ciebie, dopóki się nie pojednamy. Dopiero może w Ameryce będę ci mógł wytłumaczyć, dlaczego, kochając cię z tego com poznał, chciałem cię ztąd jednak wyprawić...

— Jutro pojedam — odparłem zimno.

— I ja z waćpanem.

— Rad będę towarzystwu.

Zaledwie wróciliśmy do Turzej-Góry, którą powitałem z dziwnie odmienionymi uczuciami od tych, które wywozłem z niej rano (tak często dzieje się w życiu człowieka wiele przemienia), ukloniłem się staremu i prosiłem go o pozwolenie udania się do mojego mieszkania. Koniuszy zrazu nic na to nie odpowiedział, ścisnął mnie za rękę i szepnął tylko po cichu:

— Przy ludziach, zmiłuj się!

Zrana byliśmy jeszcze kordjalnie i ceremonjalnie; wieczorem z urazą w sercu ku staremu odszedłem, mimo jego prośby, na górę.

Staś spał w kącie, gdyż na Polesiu sen go był opadował, który z poetą nazwałoby można *nieprzespanym*: od rana do nocy nic nie robił, spał tylko. Gdy go

pytał o przyczynę, odpowiadał mi 'melancholicznie:

— A! panie, niech się choć przyśni co lepszego nad ten kraj utracony.

Obudziłem go z kwaśnym humorem. Skarżąc się na głowę i zwolna kładąc w łóżko, powiedziałem:

— Stanisławie! konie na godzinę siódmą rano: jedziemy jutro.

Z początku, nie wierząc temu szczęściu niespodzianemu, myśląc, że z niego żartuję, stał osłupiały; gdy powtórzył, padł mi do nóg.

— Panie! doprawdy! — zawołał. — Jakto? więc jedziemy! więc jedziemy! do Warszawy!?

— Konie na godzinę siódmą — powtórzyłem.

— Będę całą noc pakował i zaręczam, że się nie spóźnimy.

Nie moge opowiedzieć co się z nim stało... oszalał: latał po schodach, krzyczał, hałasował, rozkazywał, krztał się i nie dał mi spać do rana.

Dobrze przededniem kocyk stał upakowany pod gankiem, tłumoki były poprzyśrubowywane, Staś w ubiorze podróżnym; koni tylko brakło.

Punkt o siódmej na moim zegarku, który się zgadza co do sekund z zegarkiem Stasia, widzę postać jego we drzwiach zmieszana, skłopotana, zbiedzona. Jeszcze ust nie otworzył, jużem poznał, że musi być jakaś przeszkoda do podróży, której tak bardzo pożądał.

— Konie gotowe? — spytałem.

— Prędko będą konie? — powtórzyłem.

— A! panie, szatan się wniósł w ten interes! — zawołał, rwąc sobie długie włosy. — To jakiś kraj przekłety: wszystko się tu nie po ludzku dzieje. Dobrze to

panu powiedzieć na *europiejskim* świecie: niechaj będą konie na siódmą, ale tu...

— Więc mogą być na dziewiątą.

— A kat ich wie! — odparł Staś z rozpaczą.

Znasz go, kochany Munciu, jak pocieszenie poważną minę przybiera, kiedy się rozgniewa. Pomimo przykrości, jakiej doznawałem z powodu opóźnienia wyjazdu, śmiać mi się z niego chciało w duszy. Zapomniałem o mojej biedzie, patrząc na niego.

— Wystaw sobie pan — mówił dalej — wczoraj jeszcze wieczorem lecę na to odrapane miasteczko, imienia miłośnicy nawet nie warte; pytam o pocztę, śmieją mi się w oczy. Głupiec! zapomniałem, że tu nie ma poczty. Więc do głowy po rozum: najme furmana. Wpadam do jednej karczmy, nes w nos spotykam się z Malcowskim: lichy wie, co on tam robił po nocy. — Dobry wieczór. — Dobry wieczór. — A co to tu pan Stanisław porabia? — Szukam koni. — Jaki koni — rzekł podając mi zielonej tabaki, którą ma za rzecz przednią i każdego nią częstuje. Zażyłem szczerze, bo byłem jeszcze w różowym humorze. — Jaki koni? spytał. — A tak, bo jutro jedziemy. — Jutro jedziecie? pokręcił głową. A dużo koni potrzeba? — Cztery dla nas będzie. — Cztery! wątpię, żebyś pan tyle znalazł w miasteczku: wszyscy furmani, wielu ich było, pouajmowali się z mąką do Brześcia. — I odszedł. — Ja do furmana: nie ma koni; ale mi to tak mówi, wzdychając i skrobiąc się, jakby mu te słowa drogo kosztowały. Do drugiego, czwartego: to samo. Ze złości zacząłem stajnie przetrząsać: są konie, tylko kaduk wie, dlaczego nająć nam ich nie chcą.

— Cóż więc będzie? — spytałem — pójdziemy pieszo?

— Mogliby nam wyśmienicie dać skarbowych.

Na te słowa wszedł mój dziad, który już się wybierał na polowanie.

— Co to jest? — spytał — waści koczyk upakowany?

— Jadę, panie koniuszy, to jest idę może, bo w miasteczku, choć są konie do najęcia, dostać ich nie można.

— To być nie może — rzekł stary, uśmiechając się nieznacznie. — Pan Staś nie umiał szukać: tu jest z dziesięciu furmanów.

— Słowo honoru — rzekł Staś poważnie, kładąc rękę na piersi — koni szukałem wszędzie i dostać nie mogłem.

— Czy nie do Brześcia się najeli, bo to oni zawsze o tej porze jeżdżą z mąką?

— A właśnie — odparł Stanisław.

— Ale po cóż się spieszyć? — podchwycił koniuszy, idąc ku mnie.

— Muszę — odpowiedziałem krótko i sucho.

Stary odprawił Stasia grzecznem skinieniem i usiadł w krześle, niegdyś złoconem, poważny, spokojny. Wczorajsza burza już się w nim była uśmierzyła i przeszła.

— No — rzekł — nie gniewaj się mój Jerzy; na pamięć ojca twojego i matki proszę cię o to, nie gniewaj się na starego. Słowem uczciwem szlachcica reczę ci, że nie obojętność, nie sknerstwo, jakbyś sądził, mówiły wczoraj przezemnie!...

Milczałem. Pan koniuszy dłoń mi wyciągnął: nściśnałem ją i odpowiedziałem po chwili:

— Wszystko to być może, wierzę; ale chcesz pan sam, żebym pojechał: mówileś mi to wczoraj. Jadę, a jeśli koni nie znajdę, pieszo pójdę. Pójdę bez gniewu, ale z żalem i smutkiem; posadzony o chciwość, o rachubę, pozostać tu nie mogę.

— Nie zrozumiałeś mnie. Ten kapitan, ten bestjałski kapitan winien wszystkiemu: zółć mi poruszył, powiadam ci. Mówilem rzeczy, których żaluję, za które cię przeproszam serdecznie. Daruj mi i nie jedź. Nie będę cię później wstrzymywał, ale jeszcze — tu pomyślał — dni pięć możesz u mnie zabawić; a bądź pewny, że z przyjemnością cię przyjmuję... ale są okoliczności.

Machnął ręką.

Przyznam ci się, że tak mnożyły się zagadki dokoła, że ciekawość moja podbudzona była do najwyższego stopnia.

— Dziś, gdybym chciał, jechać nie mogę — rzekłem — koni nie mam; ale jutro, kochany dziaduniu, lub jak skoro mój Stanisław się ich postara, muszę jechać i pojadę.

Pomyślawszy trochę, stary dobył z kieszeni spory zwitek i kładąc go na stole, rzekł:

— Jedziesz czy nie, a musisz przyjąć odemnie ten mały podarek.

Wzdrygnąłem się i cofnąłem jak oparzony.

— Przyjmiesz? — rzekł.

— Nigdy!

— Jest to dwa tysiące czerwonych złotych, któremi chcę, żebyś począł na nowo dorabiać się majątku. Nie daję ci ich, ale pożyczam: wezmę skrypt od ciebie.

— Dziękuję — odpowiedziałem — wprzód umrę, nim darem lub pożyczką wezmę co od pana koniuszego.

— Harda dusza! harda dusza! — szepnął stary widząc moje oburzenie; i spojrzawszy mi jeszcze w oczy, jak gdyby mnie badał, powoli ściągnął znów do kieszeni zwitek leżący na stole.

— Więc dziś nie jedziesz? — rzekł.

— Ale jak skoro koni dostanę, niechybnie.

Pomyślał chwilę.

— Będziesz miał konie, gdy się uprzesz: chociaż dni pięć chciałbym żebyś jeszcze zabawił.

Na tem skończyła się nasza umowa. Dziad chciał muie wyciągnąć na połowanie, ałem mu odmówił: nie pojechał więc także, i łndzi tylko swoich wyprawil. Dzień spędziliśmy u kominka, i pomimo późnej jesieni, przechadzając się po ogrodzie. Był to bowiem jeden z tych rzadkich dni, który jak jasna chwila starości, wedle oklepanego porównania poetów, świta u nas niekiedy przed samą prawie zimą. Słońce jeszcze trochę przygrzewało, długie jedwabne pajęczyny snuły się po suchych drzew gałęziach i łodygach obumarłych kwiatów. Gdźieniegdzie rozkwitł spóźniony pączek: a choć nie jestem bardzo czuły, w tej chwili ten przed samemi mrozy otwarty kwiat, smutną mi jakąś myśl napędzał. Cisza była w naturze; na polach jeduo zebrane, drugie posiane i zieleniejące; ludzie weseli, bo niegłodni; drzewa w resztkach szat swoich purpurowych i złocistych, któremi się stroją, nim je całun zimowy pokryje. Nie wiem czemu, nawet woń jesiennego powietrza mgłą przesiałkłego i całkiem odrębnego zapachu, smutne, choć miłe, robiła ua mnie wrażenie. Nie poznawałem siebie.

Rozmowa z panem koniuszym, obojętna z mojej strony, z jego niespokojna a serdeczna dosyć, toczyła się jak toczą wózki po drogach poleskich, podskakując z kija na kij, lub włokąc powolnie po piasku. Wyszliśmy do ogrodu, potem w dziedziniec. Naprzeciw dworu jest stary wał zamczyska, które tu stało przed laty, a na jego sklepiach i fundamentach stoi to, co się zowie domem nowym. Po wałach rosua stare lipy i deby, wśród których jest ławka kamienna. Dziadunio lubi ztąd po-

glądać na miasteczko i okolice, a czasem strzela tu do celu. Poprowadził mnie z sobą. Zagadaliśmy się tak, że koniuszy, począwszy o Stanisławowskich czasach, wplątał się w tak rozciągle opowiadanie, iż słońce miało się już ku zachodowi, a my jeszcze na ławce siedzieli. Jesienny chłodek dobrze się czuć dawał, wiatr smagał zachodni, czerwone promienie słońca oświecały zasłane pajęczyną pola: nagle wśród tej ciszy, wśród spokoju, słyszymy tętent i gwizdnienie.

Dziad mój pobladł, wstrząsnął się, podniósł nagle z ławki, spojrzał na mnie, zawahał czy iść, czy zostać, potem z bardzo widocznym niepokojem na twarzy, rzekł: — Zaraz powrócę! — i zniknął.

Szybko znikł mi z oczu. Nie mogłem pojąć co to wszystko znaczy, gdy z ciekawością wpatrując się w dziedziniec, postrzegam z za drzew, przed gankiem, kobietę na koniu siedzącą, za nią dwóch ludzi wytwornie ubranych, śliczny koczyk i jakąś w nim drugą panię. Widzę jak się mój dziad zbliża, jak wita i szybko uprowadza je do pokojów, a Malcowski prędzej jeszcze konie i powóz zapędza do stajni.

Kazał mi wprawdzie czekać na siebie, ale widząc, że to coś zagadkowego, nie myślałem go wcale słuchać i pospieszyłem ku dworowi. Spotkaliśmy się w pół dziedzińca. Stary był pomieszany i bardzo niezręcznie udawał obojętnego.

— Ktoś przyjechał? — spytałem.

— A! a! to ktoś z sąsiedztwa, osoba dziwaczna... znajoma... to jest, byłem jej opiekunem; czasem mnie odwiedza... dosyć pospolita figura! Czy przyjdiesz do nas? — spytał, poglądając mi w oczy.

— A jakże, idę.

— Bo ty może się znudzisz, lub może cię to ambasuje. To dziwaczna kobieta. Gdybyś chciał, mógłbyś pozostać u siebie. Rób jak ci się podoba: nie zmuszaj się, proszę, do żadnych grzeczności, wiem, że wolisz być sam-na-sam.

— Ale nie! Owszem idę i pomagam panu koniuszemu bawić gości.

— Ja-bo wiem, że ciebie to zmęczy, a ty potrzebujesz wypoczynku przed drogą.

Wyraźnie odpychany, postanowiłem koniecznie zobaczyć te panie. Śmiejąc się, wziąłem dziada pod rękę, choć się okrutnie krzywił, i z nim razem wszedłem do tak zwanej sali.

Pozwól mi długo, obszernie opisać ci, kogom tu zastał. Czuję, że ta chwila, chwila wielka i uroczysta, jest ważną w mojem życiu. Nie śmiej się, nie śmiej! Nie jest to miłość, jakich sto przepłynęło po wierzchu serca, nie dotknąwszy go: jest to jakieś uczucie wielkie, święte, szacunku godne, jest to gwałtowna namiętność, jakiej wyobrażenia nie miałem. Ja, co dotąd mówiłem po dziesięciu dniach: *on se lasse de tout mon ange* *), jeszcze się jej widokiem a mojem cierpieniem nie znudził, nie przesycił! Słuchaj więc, słuchaj, czytaj, jeśli list ten, pisany szkaradnie, będziesz miał cierpliwość wydecyfrować.

Koniuszy z widoczną niechęcią i nie bez oporu nawet, wszedł ze mną do salonu; bladł, czerwieniał, jak na uczynku pochwycony złoczyńca, i niekiedy machinalnym ruchem, do którego przywykł, targał się z lekka za szpakowatą czuprynę, przechylając głowę. W sali palił

*) *Liaisons dangereuses.*

się już błyszczący ogień na kominku. W pośrodku, naprzeciw ognia, siedziała na krześle młoda kobieta, wysokiego wzrostu, twarzy dumnej choć łagodnej, wejrzenia śmiałego, z czarnymi ogromnymi oczyma, bladą i niezmiernie białą twarzą, ubrana w amazonkę aksamitną z jedwabnymi potrzebami, w saffjanowych bucikach, ze szpicrutą w ręku.

Krótko podfryzowane włosy spadały w puklach lśnących dokoła jej głowy; piękne, wyniosłe czoło, nieprzeciete żadną zmarszczką, wznosiło się nad prześliczną jej twarzą, jak kopuła nad świątynią; cudowne rysy wspaniałej tej piękności składały całość, jaką chyba na starożytnym posągu zobaczyć można. Piękność to była niepojęta dla mnie, niewidziana dotąd na ziemi, coś jakby sen nieprawdopodobny: bałem się, by mi z przed oczu nie znikła i nie rozplynęła się w powietrzu. Obok niej siedziała druga, daleko starsza kobieta, lecz prawie równie piękna. Nie pytając, nie znając ich, widziałeś od razu, że pierwsza nie skosztowała jeszcze życia, a drugiej goryczą zaprawne, już się na zawsze skończyło, z nadziejami razem. Wyraz obojętnego jakiegoś smutku, tęsknoty, która uleczoną być nie chce, nieledwie pogardy świata, dawał się czytać na jej twarzy znużonej, zora-nej zmarszczką przedwczesną, a jeszcze młodej i pięknej. W oczach tej kobiety nawet ciekawości nie było: wejrzenie było chłodne i umarłe. Zamknięte usta mówiły: co mnie do was, co wam do mnie?... Te dwie panie, jak gdyby naumyślnie przy sobie postawione, stanowiły zupełną sprzeczność: pierwsza rwać się zdawała do życia, z wiarą we wszystko, czego nie skosztowała jeszcze a pragnęła; druga nie żądała nic, krom spokoju i końca śmiesznej tragi-komedji, która się życiem nazywa. Tak

przynajmniej czytałem z ich pierwszego wejrzenia: a rzadko pierwsze wrażenie omyli.

Wystaw sobie zdziwienie moje na widok tych kobiet, tu, gdzie się nic podobnego zobaczyć nie spodziewałem, tu, gdzie się one zdawały zupełnie nie w miejscu, fantastycznym jakimś zjawiskiem. Postawa, strój, wszystko do najdrobniejszych szczegółów zdradzało w nich istoty z innego świata, pochodzenie z innej strefy. Wyobraź sobie dwie palmy na poleskim błociu: tak mi się wydały te dwie kobiety u pana koniuszego. Wszedłem i osłupiałem prawie na progu, ałem się rychło opamiętał. gdy dziad już mnie prezentować począł:

— Mój wnuk, Jerzy Sumin; pani Lacka, panna Irena Z...

To powiedziawszy, z pospiechem i przymusem, niemal z gniewem rzucił mnie w progu i poszedł coś szeptać pannie Irenie.

Nie potrzebuję dodawać. że kobieta w amazonce była panną Ireną, druga panią Lacką. Z panną Ireną, jak uważałem, koniuszy był w najpoufalszych stosunkach.

Mieliśmy czas, ja i ona, zmierzyć się oczyma i wzajemnie powiedzieć sobie to nieme powitanie, które często o całych przyszłych stosunkach stanowi. Zły, skłopotany i samem położeniem mojem, bliską, nie wiedzieć dokąd, podróżą przywiedziony do jakiejś rozpacz, wpadłem w humor dziwny: stałem się zjadliwym, szyderskim, pogardliwym prawie i lekce wszystko, począwszy od gospodarza domu, ważącym. Przez każdy wyraz mój musiała się, jak później postrzegłem, przebijać męczarnia wewnętrzna i cierpienie.

Zaledwie pozdrowiwszy kobiety, które mi na powitanie odpowiedziały jedna obojętnie, druga ciekawie a dumnie, usiadłem, a raczej rzuciłem się na fotel stary,

stojący w oknie na ogród wychodzącem, wsparłem się na rękę i poczęłem patrzeć na stare świerki czarne i bezlistne grubych lip gałęzie.

Dwie panie z początku poglądały na mnie jak na dzikie zwierzę: widocznie pojąć nie mogły, równie jak ja, co tu cywilizowaną powierzchowność mające stworzenie w głębokiem Polesiu robić może? Dziad zakłopotany, nie pojmuje czem, chodził od jednej do drugiej, ale ze szczególnem wejrzeniem, ojcowskiem prawie jeśli nie macierzyńskiem, z troskliwością niewymowną krzątał się około panny Ireny: przysuwał i odsuwał jej krzesło, podawał sam wodę i wpatrywał się w nią, jak prości ludzie mówią, gdyby w obraz cudowny.

Na kilka minut przerwała się rozmowa prawie zupełnie. i gdy koniuszy z temi paniami poufałe szeptał, one coś między sobą po cichu mówiły, a ja pogardliwie milczałem, nie myśląc się do nich zbliżać wcale. Wyznam jednak, że i dziwnie piękna twarz panny Ireny, i jej bytność u dziada, i niepospolita powierzchowność, silnie ciekawość moją podbudzały. Chciałem koniecznie bliżej ją poznać, ale na wpół przez damę, wpół przez nieśmiałość pierwszy może raz mnie napadającą, zbliżyć się wahalem.

Nareszcie pauna Irena wstała z krzesła i wzięwszy ze stołu rzucony bukietik jesiennych kwiatków, w którym przemagały szafirowe osty, zwane u nas mikołajkami, poczęła się, bawiąc nim, przechadzać wzdłuż pokoju. Rnchy i chód były królewskie: śledziłem je chciwemi oczyma. Pani Lacka, ze spuszczoną głową i założonemi na piersiach rękoma, wpatrywała się w komin, zdając się odpoczywać po zmęczeniu. Koniuszy czyniąc chodząc za Ireną, a niekiedy obdarzał i mnie wejrzeniem niespokojnem.

Najprozaiczniej i najpospoliej w świecie poczęła się nareszcie rozmowa między nami.

Irena, jakby długo szukała do niej wątku i początku, zatrzymała się naprzeciw mojego krzesła i spytała obojętnie :

— Pan dawno z Warszawy ?

Koniuszy, jakby nie chciał mi pozwolić, żebym usta otworzył, pośpieszył się odpowiedzieć za mnie. Ja ruszyłem tylko głową w sposób potakujący.

— I długo zabawie tu myśli ?

— Jutro wyjeżdżam — odpowiedziałem cicho.

— Tak prędko znudziło pana nasze Polesie ?!

Uśmiechnąłem się gorzko, spoglądając na pana koniuszego i odparłem :

— Nie miałem czasu go poznać.

— Ani ciekawości ?

Na tejbym może nie zbywało, ale inne okoliczności nie dozwalały nawet pomyśleć o tem.

— Jakto ? — spytała najnaturalniej w świecie — panbyś mizerne interesa życia materialnego, tę brudną kuchnię, kładł wyżej wielkich obowiązków i przyjemności męskiego zawodu ? Pan-byś, uganiając się za marną sprawą, za czemś blahem, co pospolicie zowią *interesem*, poświęcał mu poznanie kraju, ludzi, zawsze wysoko naucezące i zajmujące, zdaje mi się ?

To pytanie *à brûle pourpoint* od kobiety zupełnie nieznanomej, niezmiernie mnie zadziwiło. Była to jakby próba, co na nie odpowiem, jakby zasadzka dla zbadania kto jestem. Pojmujesz łatwo, że bardzo wielu lwów warszawskich na mojem miejscu albowy nie zrozumieli, lub odpowiedzieli pół-słowem, czemś oklepanem i zwyyczajnem, żeby sprowadzić rozmowę z wysokości, na jakiej

od razu stawiała. Ja w tej chwili położeniem mojem wyegzaltowany, a jej słowy wzniesiony nagle tak wysoko, odpowiedziałem z niejakim zdumieniem, mierząc ją ciekawemi oczyma :

— Ludzie i świat, pań, wszyscy i wszędzie są jedni; a te łachmany, które zowią ich strojem, obyczaje, nalogi, miejscowy koloryt: cóż to, jeśli nie znikoma bardzo forma, która różni na oko, a pokrywa jednostajną wszędzie naturę? Jeśli czego nie poznał, spróbuję odgadnąć.

Spojrzałem na koniuszego, który pobladł, potarł włosy silnie, udając, że je poprawia, chrząknął, wstał i zbliżył się, kołując, do Ireny. Ona stała ciągle naprzeciw mnie, bawiąc się kwiatkami.

Ja siedziałem z miną obojętną, rozparty. Te kilka wyrazów jednak były akordem dwóch muzycznych nardzi, które probują czy jednakowo są strojone.

Spojrzeliliśmy na siebie. Dopiero teraz usłysawszy z jej ust kilka wyrazów, zdumiałem się bardziej jeszcze, widząc, że nie tylko nadzwyczajną piękność, ale niepospolite zjawisko miałem przed sobą: jeden z typów naszego wieku, kobietę, której umysł równie był jak twarz piękny, jeśli ten przymiot umysłowi dać można. Jakież były stosunki między nią, tak wykształconą, a panem koniuszym, tak zardzewiałym? Mówił wprawdzie o swojej nad nią opiece: ale pojąć mi było niepodobna, jak pod jego opieką zejść mogła ze stanowiska pospolitego naszych kobiet i dostać się na daleko wy sze.

— Odgadnąć! odgadnąć! — powtórzyła ostatnie słowo moje, zaczynając się znów przechadzać panna Irena. — Wiele rzeczy można odgadnąć, ale wielu też trzeba się uczyć. Poznajemy ludzi, a w ludziach uczym się czło-

wieka. Świat i ludzie nie są tak łatwą zagadką, żeby ich całe życie nasze pracowicie odgadywać nie było potrzeba. Lecz kto tylko odgaduje, często cały świat, całą ludzkość fałszywą sobie tworzy i własną na obraz i podobieństwo swoje; a w stosunkach z żywymi bije się o utwory własnej wyobraźni, pojąć nie mogąc przyczyny swoich zawodów.

To są jej wyrazy, zdaje mi się, że ja je dobrze zapamiętał. Pojmij, jeśli możesz, jak mnie zachwyciły z ust tak pięknych rzucone od niechcenia, niedbałe, naturalnie, bez przymusu, bez wyszukania, bez oglądania się na okłaski. Co chwila bardziej słupiałem, widząc ją tak pewną siebie, poufałą, i nie a nie moją miejską powierzchownością, mojem stołecznem pochodzeniem nie zmieszana. Wrażenia moich opisywać ci nie będę, ani bym potrafił, i nie miejsce też na nie w tym liście, do zbytek już ogromnym.

Koniuszy coraz ognistszem od gniewu okiem rzucał na mnie; ja jeszcze siedziałem u okna.

— Zgadzywać lub uczyć się — odpowiedziałem — świata i ludzi czy warto? Oboje tracą na bliższem poznaniu.

— Czyż zawsze?

— Najczęściej podobno.

— Zkądże to odczarowanie w młodości? — spytała stając naprzeciw mnie. — Nie myślę, żeby miało być farbą, którą się zalotnie malują niektórzy, wychodząc na scenę? Przypuszczam, żeś pan szczery.

— O! za to pani dziękuję! Jestem szczery i nie mówię tylko to co myślę.

— Dobrze! A zatem szczerze: jakie wrażenie wywiesz pan z naszego kątką?

— Nie wiem dotąd: do dzisiejszego dnia nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Nad tem nie potrzeba sie namyślać: to się czuje.

— Dotąd Polesie zdawało mi się doskonale pocziwym, ale bardzo dzikim krajem — rzekłem uśmiechając się. — Wyjmuje dom mojego dziada i wszystko co w nim dziś poznałem.

— O! tylko bez tych grzeczności: czeze kadzidło!

Mój pan koniuszy, nie mogąc wytrzymać, wmięszal się wreszcie do rozmowy dosyć niedorzecznie:

— Prosiłem i proszę, żeby się zatrzymał dłużej — rzekł zafrasowany trochę i obracając się poprawić coś w kominie — ale tak się uparł jechać...

Uśmiechnąłem się dość nieznacznie. Irena spojrzała tylko na mnie i na dziada, i zdawała się czegoś domyślać.

— Pan koniuszy źle musiał prosić. A gdybyśmy jeszcze pana sprobowali zatrzymać dla lepszego poznania naszego kątku?

— Ha! ha! — uśmiechnął się żółto mój dziad, dmuchając w ogień niespokojnie — nie uprosimy, nie możemy uprosić: dał słowo, sam słyszałem, dał słowo.

— Komu? — spytała Irena więcej dziada niż mnie.

Ale koniuszy zaczął w tej chwili dawać rozkazy do herbaty i udał, że nie słyszy. Ja milczałem.

Ponfalość jej z moim dziadem wyszła teraz na jaw bardziej jeszcze niż dotąd: wzięła go pod rękę i zaglądając mną w oczy, spytała natarczywie:

— Komu dał słowo?

— Kto? — odparł stary, udając zapomnienie.

Rzuciła rękę jego z trochę niecierpliwości i zawołała:

— Biedni ci starzy, jaka krótka pamięć!

Na tem skończył się pierwszy epizod. Rozmawialiśmy potem z sobą z coraz wzrastającą żywością o tysiącu rzeczach. Ona jakby łaknęła rozmowy, myśli, sporn, wciąż podsycala rozprawy, które jedna z drugiej się wywijały. Dziad napróżno usiłując temu przeszkodzić, usiadł nareszcie przy kominie i zadumał się głęboko. Pani Lacka w upartem milczeniu, które ledwie kilką słowy przerwała, poglądała z jakimś niby politowaniem to na mnie, to na Irenę, to na starego.

Podano herbatę. Irena posadziła mnie między sobą a panią Lacką, dziada z drugiej strony i poczęła gospodarować jak we własnym domu.

Nagle, obejrzawszy stół cały i skosztowawszy chleba, obróciła się do koniuszego:

— Widzę, że kochany opiekun nie spodziewał się dziś kobiecego najazdu, bo dla mnie chleba upiec nie kazał.

— O! już się piecze.

— Nie warto moim dziwactwom dogadzać. Godziź się, żeby się człowiek tak pieścił, nie znając co mu przyszłość gotuje?... Potem dodała: — Ale zamiast podziękowania, że mając być za dni *pięć* dopiero, przyspieszyłam odwiedzin. pan koniuszy tak chmurny jakby do losia chybil.

Gdy wymawiała dni *pięć*, przypomniałem sobie, że dziad pozwolił mi być jeszcze u siebie pięć dni właśnie przemieszkać, i spojrzałem na niego z nieznacznym uśmiechem. Spotkałem jego wzrok, zmieszał się, a pokrywając to, wstał psy powypędzać z pokoju.

Ale Irena też wszystko widziała i wiele zapewne odgadła, bo spojrzawszy na staruszkę, ruszyła z lekka ramionami, jakby z politowaniem.

Rozmowa po herbatce o stolicy, o literaturze, o wsi

i mieście i t. p. i t. p., przeciągnęła się do wieczerzy. Kilka razy wmieszała się do niej piękna i smutna pani Lacka, której głos cichy brzmiał niewypowiedzianym smutkiem, ale myśli jej nie miały orlego lotu Ireny. Po wieczerzy byliśmy znajomi, jakby lata przebywszy z sobą; i mnie wrócił humor, odwaga, siły, a gdyby nie przykra myśl jutrzejszego wyjazdu, chciałem powiedzieć raz pierwszy w życiu w duszy mojej, że czuję się szczęśliwym.

Dziwilo mnie niepomału, że te panie wcale się do wyjazdu nie sposobily, gdy usłyszałem właśnie rozporządzenia dawane przez Malcowskiego, dla umieszczenia ich w kilku pokojach, które dotąd zawsze zamknięte bywały: miały więc nocować. Potwierdziła to Irena, odrywając się do starego:

— Wszak mój opiekun nie wypedzi mnie od siebie? Noc ciemna; ja dosyć jestem zmęczona.

— Panno Ireno! panno Ireno! — z zapalem podchwycił koniuszy, łamiąc ręce — spytaj raczej czybym cię puścił w nocy przez bezdroża z twojem śmiałkowstwem?

— Patrzcie, jeszcze mnie połajał, zamiast podziękowania! — rzekła, zbliżając się ku niemu i ściskając go za rękę. On pochwycił białe jej pałuszki i skwapliwie ncałował; ale dopełniwszy tego prawie namiętnie, obejrzał się na mnie, odskoczył i zaśmiał.

— A co! — zawołał do mnie — he? w starym piecu djabeł pali! Szczęściem, panie, że mi siedm krzyżów podobno, a do krośet, jeszczeby mnie ta synogarliczka daleko zaprowadzić mogła!

To powiedziawszy i potarłszy ręce, rzucił się widocznie znużony wysiłeniem na kanapę.

Ja z temi paniami (a raczej z panną Ireną, bo pani

Lacka zawsze była milcząca i smutna), będąc już jak stary znajomy, poczęliśmy się śmiać, żartować i w żwawszą coraz zapędzać rozmowę. Nagle w pośród niej zatrzymała się zawsze trochę poważna Irena i zawołała do koniuszego:

— Opiekunie, mam żal do ciebie!

— Do mnie? cóżem mógł zrobić takiego?

— Popelnileś wielki występki! dowiodłeś, że jesteś starym samolubem. Jaki? na Polesiu, gdzie tak rzadko gość z cieplejszych krajów zawita (nie licząc bocianów, których dosyć mamy), nie chciałeś się gościem z sąsiadami, a zwłaszcza ze mną, podzielić? To szkaradnie!

Koniuszy poczerwieniał.

— Przyjechał na tak krótko.

— To nie wymawia cię bynajmniej. Wszak gdyby nie kapitan, który mi dał znać, że mamy gościa w Turzej-Górze, anibyśmy o tem wiedziała, i byłby sobie szczęśliwie wyjechał.

Dziad, słysząc o kapitanie, pobladł, wyjął cbustkę z kieszeni i nieznacznie zawiązał na niej węzelek. — A to kapitan! — mruknął cichutko do siebie — nowa kreska! dobrze! przyjdziemy do rachunku kiedyś.

— Musiałam — mówiła dalej Irena — dogadzając wrodzonej kobiecej ciekawości, przyspieszyć przyjazd mój do Turzej-Góry. Teraz naznaczę karę opiekunowi za ten występki: musisz...

— Co każesz? — rzekł żywo poskakując stary.

— Dobrze się spytałeś, panie koniuszy? Tak jest, w imię twojego przywiązania do mnie, rozkazuję wstrzymać wnuka i nie puszczać go jutro. Niech z nami posiedzi na pokucie, chciałam mówić na Polesiu.

Skrzywił się stary okropnie, gorzko, i uśmiechając

nieszczercze zbliżył się do mnie. O! o! trzeba go było widzieć, jak mnie prosił, a prosząc poddawał mi sam odpowiedzi.

— Nie pojedziesz, kochany Jurku, nie! nie! Ten pilny twój interes przez list załatwić się może, nieprawdaż? Ale nie pojedziesz, biore to na siebie: słowo dane, choć świętem jest słowo szlacheckie, dotrzyma się, gdybyś nawet odwlókł cokolwiek.

W ten sposób, do niecierpliwości mnie przywodząc, mówił długo stary, aż nareszcie Irena, która, jak mi się zdaje, więcej wie i roznamię odemnie co się z nim dzieje, powiedziała mu coś do ucha, i dziad mój natychmiast inaczej wcale wziął się do zatrzymywania wnuka. Pojmujesz, że zostałem nie dla niego, ale dla niej.

Dość późno rozeszliśmy się z pokoju: bo choć w Turzej-Górze zwykle o dziewiątej noc się poczyňa, choć pan koniuszy nieraz zuaczaco spoglądał na zegarek, Irena zdawała się na to nie uważać, i kilkakrotne przypomnienia pani Lackiej, wyrzeczone na ucho, przyjęła z roztargnieniem, niecbetnie. Nareszcie o jedenastej stary poczał nielitościwie ziewać i przebadzać się, a nie mogąc nas i tym sposobem rozpędzić, bez ogródki oświadczył, że czas iść spać.

Na górze zastałem Stasia w różowym humorze, bo się już nazajutrz wybierał na pewno w drogę. Jakież było jego zdumienie, gdym mu powiedział, że jeszcze na jakiś czas zostajemy! Z rozpaczą wyszedł milczący z pokoju i rzucił się nierozebrany na łóżko.

Ja długo, długo chodziłem, marząc rozkosznie. Piękna, cudowna Irena stała mi w myśli i na oczach. Lecz któż ona była? jakie stosunki łączyły ją z panem koniuszym? jakie było jej położenie towarzyskie?... nie wiedziałem

i nie łatwo dowiedzieć się mogłem. Chciałem posłać Stasa na wywiady, ale ten teraz sparaliżowaany wstrzymanym wyjazdem, był do niczego.

Gdym się nazajutrz przebudził i wysłał go dowiedzieć się o gościach, już ich w Turzej-Górze nie było: raniuteńko wyjechały panie, jedna, wedle zwyczaju swego, konno, druga powozem. Znikły jak sen; i gdym wszedł do sali, w której je wczoraj widziałem, gdzie spędziłem tak rozkoszny i ożywiony wieczór, przypomnienie świeże zdało mi się marzeniem nocnem.

Koniuszy ponuro, zamysłony siedział przed kominem wygasłym, sparszy ręce na kolanach; zdawał się starszy niż wczoraj, a na twarzy jego niepokój, smutek, głębokie malowało się strapienie. Powitał mnie milcząco, a nie ze zwykłą rubasznością swoją. W jego spojrzeniu na mnie było coś naksztalt stłumionej niechęci i gniewu; przecież był bardzo grzeczny. Po zwykłych pytaniach i oddanem wzajemnie *dzień dobry*, nie mogłem wymódl na sobie, abym nie spytał, co się stało z wczorajszem zjawiskiem. Spojrzał na mnie kwaśno.

— Te panie?... pojechały sobie do domu.

— Tak spiesznie? tak rano?

— Nie chciałem ich zatrzymywać — odpowiedział. — W kawalerskim domu goście to niewygodni: nie wiedzieć jak ich przyjmować.

Po przestanku, spytałem: — kto była panna Irena?

— Młokosy! trzpioty! — rzekł stary, ruszając ramionami — każda piękna a nieglupia kobieta zawraca wam głowę na kwadrans. Nic statku! nic statku! Już i waści się roi panna Irena! Porzuciłbyś!

— Panie koniuszy! zkądże te wnioski? Co innego

roić, a co innego poprostu być ciekawym. Widziałem ją raz, a że mnie zajęła...

— Tak! już, już zajęła! — zakrzyczał prawie z gniewem — już go zajęła. Patrzajcie? Otoż i jest! Już go zajęła! już go zajęła!

— Zajęła mnie oryginalnością swoją i chciałbym wiedzieć...

— Wiedzieć? co wiedzieć? ile ma posagu? co? cóż wiedzieć? Zwyczajnie, córka obywatelska, panienska dosyć trzpiotowata, dość samowolna i popsuta: ot i cała rzecz. Cóż więcej wiedzieć? na co wiedzieć? do czego? po co?

Umilkłem naturalnie.

— Ale, ale — dodał kwaśno — wszakże po południu jedziemy do Rumianej?

— Cóż to jest Rumiana?

— Rumiana?... wioska panny Ireny.

— Więc panna Irena ma wioskę! — zawołałem nieważnie.

— Otoż jest! otoż jest! jużbyś się gotów i żenić, bo ma wioskę — wołał dziad. — Im więcej nie potrzeba! Potem wioskę zjeść, a żonę porzucić. Ale nie, paniecykn, nie! nie dla kota sadło! — rzekł ciszej.

— Panie koniuszy! wszak dziś mówić z nim niepodobna; zkad taki humor?

— Jużci upatrzył zły humor! Skaranie Boże! Albo to ja młody trzpiot, paliwoda jak wy, żebym się śmiał i tańcował całe życie jak szczygielek?

— Po południu więc — rzekłem — jedziemy do Rumianej?

Kiwnął tylko głową.

Wyszedłem rozmówić się ze Stasiem o podróży, ale

chcąc jak najprzystojniej się pokazać, wróciłem odedrzwi z zapytaniem: czybyśmy ładnym koczykiem moim jechać nie mogli? Koniuszy nad wszelkie spodziewanie moje zgodził się na to, bo jego Dangłowska landara była w poprawie u kowala, a nejtyczanka świeżo się pola-mała. Musiałem jeszcze ująć datkiem i prośbą Stasia, żeby rzuciwszy rozpacz i żalę po zawiedzionych nadziejach wyjazdu, raczył mi wszystko jak należy przy-sposobić do tych odwiedzin.

Wiedziałem już, że panna Irena była właścicielką wioski; ale miała-li rodziców, krewnych i jakich? kto była? nikt mi powiedzieć nie chciał. Zaczepilem Mał-cowskiego, który się uśmiechnął, ruszył ramionami i odpowiedział:

— A cóż, jasnie panie, obywatelska córka! Była w opiece u mojego pana. Bardzo dobra panna! o! bardzo dobra panna!

Z tak obfitym zapasem wiadomości, po milczącym objedzie, ruszyliśmy nieco lepszą drogą, ale za to piaskami, ku Rumianie. Koniuszy milczał, przerywając tylko niekiedy uwagami, jakie mu nastroczały gospo-darskie spostrzeżenia.

— A taki nie zrobił psiawiara jak chciałem, nie po-siał tu wprzód, hm! Żle pole uprawione, perz widać wszędzie i t. p.

Zaczęło się zachmurzać i zbliżać do zachodu; prze-cież miałem jeszcze czas przypatrzeć się okolicy, gdyśmy się zbliżali do Rumianie. Choć nikt mi o tem nie oznaj-mił, poznałem, poznałem ją po osobliwszej niespokoj-ności koninszego, który przed siebie spoglądał i kręcił się w kocznu.

Wkrótce wjechaliśmy w szeroką ulicę, staremi

lipami wysadzana, która w tej chwili cała usypana była żółtymi liśćmi. Na końcu jej gęste i szeroko rozrosłe wznosiły się drzewa, każąc domyślać się ogrodu; w prawo ukazywał się staw błyszczący, nad nim kapliczka gotycka; wprost białął wielki dwór. Folwark gospodarski odsadzony był o kilka staj na lewo od niego.

Z ulicy wjechaliśmy w dziedziniec, teraz już po-
zółkły, ale ogromnym zasłany trawnikiem, wkoło któ-
rego wznosiły się drzewa, a pod nimi kwitły jeszcze
reszty niedomrożonych dalij. Dom, przed który zajeżdża-
liśmy, wcale nie poleską miał minę: obszerny, bez pię-
tra, ale na wysokiem podmurowaniu, rozciągał się przed
nami z oranżerją przytykającą doń, galerją krytą i wie-
życzką na rogu. Z niej dalekie okolice obejrzyć było
można; a kto zna smutne widoki Polesia, zewsząd la-
sami czarnemi pozamykane, ten oceni wieżyczkę jak
warta: oko mogło pójść ztąd trochę dalej. Gałek cały
zaszklony, pełen był najrozmaitszych kwiatów, ze sma-
kiem rozstawionych.

Zdumienie moje rosło co chwila. Jak oaza wśród
pustyni, jawi się przedemną dom, któryby wśród Paryża
mógł stanać: utrzymywany wytwornie, ubrany starannie,
urządzony tak gustownie, że nie można się było nie
dziwić, nie zastanowić, nawet trochę przygotowanemu;
coż dopiero mnie, którym wcale tego wszystkiego nie
domyślał się, choć z właścicielki miałem prawo sądzić
o jej mieszkańin. Koniuszy zawsze w najgorszym w świecie
humorze, chmurny jak jesień, rzucił swoją bajową czujkę
i poszedł przodem, prowadząc mnie po obszernych sa-
lonach, w których wszędzie duszę kobiety, dotknięcie
jej ręki i uczucie wdzięku widać było. Ustawienie kwia-
tów, rozrzczenie draperji, tysiące fraszek, przekładanych

tak, że wzajemnie jedna drugiej wartość podnosiła: świadczyły o staraniu, z jakim dom urządzono, i wielkim smaku właścicielki.

Któż ona jest? gdzie się wychowała? zawsze tu tylko żyć nie mogła? pytałem siebie, idąc przez puste pokoje, w których kosztowne obrazy, posążki, brzozy, oznajmywały nietylko wielkie wykształcenie, ale razem wielką zamożność. Nareszcie dostaliśmy się do małego saloniku, w którym za gracikami i meblami trochę było ciasno. Trzeba się było oswoić z nim, żeby śmiało chodzić. Kanapy, fotele, stoliki, stołeczki, konsole, necessary, przybory do malowania, do haftu, bukiety z kwiatami, ogromne wazony z krzewami południowych stref, zajmowały ten kątek, zasiany książkami wszędzie. Prześliczne hebanowe ze skromnemi ozdobami złoconemi piano Erarda, uginać się zdawało pod ciężarem narzuconych nut. Na kanapie i trzech krzeselkach leżała rozrzucona portiera, którą właśnie z szytych na kanwie sztuk składano. I tu jeszcze nikogośmy nie znaleźli, ale prędko otwarły się drzwi boczne, i Irena, a za nią pani Lacka, weszły razem do pokoju. Koniuszy posunął się ku nim, usiłując wyrobić sobie twarz wesołą.

Irena miała dnia tego suknię fioletową z grubej ciężkiej materji, ściągniętą sznurem takiegoż koloru, ręce po łokcie czarną tylko siatkową rękawiczką okryte, włosy gładko uczesane; pani Lacka w czarnej sukni pod szyję, ale bez czepka.

Trudno mi opisać ci jak obie były piękne, jak nade wszystko piękną była Irena! Oczekiwałem kogoś więcej, domyślając się ojca, ciotki, matki, babki: ale tego wszystkiego nie ma. Irena sama przyjmowała nas jak gospodyni domu: odebrała zaraz od koniuszego

czapkę i rękawiczki, które ceremonjalnie trzymał w ręku, przysunęła mu fotel, wskazała mi drugi i sama usiadła: w każdym ruchu, w każdym skinieniu pelua nieopisanego wdzięku.

Wieczór mignął mi tak szybko, że z niego jak ze snu na zaraniu wypowiadać ci się niepodobna: ogólne tylko pozostało mi wrażenie jednej z najszcześliwszych chwil w życiu.

Dziad mój, milczący i nie dając się rozweselić, to książki leżące wszędzie przewracał, to gazety czytał, to chodził po pokojach, mierząc nas tylko okiem ciekawem, pełnem niepokoju. My bujaliśmy myślami a piękna gospodyni, która od dawna podobno nie miała z kim myśli podzielić, ożywiona była i wesola. Przyznam ci się, że pierwszy raz wobec tej kobiety, tak poważnej, tak z wysoka pojmującej życie człowieka i życie kobiety, tak dalece wyższej nad pospolity tłum niewiast, że zdawała mi się czemś nieziemskiem i zupełnie wyjątkowem: wstyd mi się zrobiło mojej tak zmarnowanej młodości, prześwistanych lat najdroższych. Zdaje się, że na skrzydłach swej myśli podniosła mnie i ukazała zdumionemu, jak inaczej świat się wydaje z góry, jak dalece inne niżelim sądził z wami razem, jest przeznaczenie, a zwłaszcza obowiązki człowieka.

Każdy jej wyraz napiętnowany był myślą świeżą, uderzał czemś niespodzianem. Poważna, prawie surowa, spokojna i mężna, mówiła o sobie, jak drudzy o obcych, wskazując swe wady, dając się poznać bez tej tchórzliwości, pospolitym kobietom właściwej, która czasem jest wielkim urokiem, częściej szatą słabości.

W jej towarzystwie uczulem się zbrojnym w odwagę a przyszłość: zmęźniałem. Zachecony, ośmielony, po-

ciągniony, ja także opowiedziałem nieznacznie część życia mojego.

Dziad, który (jak teraz widzę) daleko lepiej zna moją przeszłość niżeli myślałem, ze szczególniejszą zajądłością, mogę powiedzieć, choć to niby na wpół żartem, dopomagał mi do tej spowiedzi, przesadzając co tylko ze zlej strony okazać mnie mogło. Niekiedy spojrział na Irenę, jak gdyby mówił: otoż go masz, sam ci się maluje.

Ale ona nie dała znaku, żeby gorsze ztąd o mnie miała powziąć wyobrażenie; owszem, obchodziła się ze mną coraz poufalej, coraz bardziej przyjacielsko. Dziwnym fenomenem sympatji, który rzadko się trafia na świecie, a raczej mało dotąd był postrzegany, ja z Ireną zdalem się od dawna znajomym: w wejrzeniu, w ruchach. zgadywałem całą jej przeszłość, której nie znałem, przewidywałem ją całą. A w miarę jak szaty z tego bóstwa opadały, bóstwo stawało przedemną jaśniejsze, piękniejsze, doskonalsze: zbliżenie nie rozczarowywało, podnosiło ją do idealu.

Postępowanie dziada pozostało dla mnie pełne tajemnicy, zupełnie zagadkowe. Gdy Irena niechcący, a raczej nie widząc w tem nic, coby mogło zrobić jakie wrażenie na starym, wspomniała o kapitanie, koniuszy znowu precedził przez zęby: Zje djabła! zje djabła! — potargał wąsy i poczerwieniał.

Musiałem się nareszcie domyślać, że między moim dziadem a kapitanem nie ze wszystkim o łaki tylko i o lasy chodziło, a zająście ich ważniejsze daleko i starsze, niżeli koniuszy się przyznawał, być musiało. Dla czego wprzód ani wspomniał mi, że Irena była krewną kapitaną?

Zatrzymani na noc, poszliśmy do domku ogrodowego, gdzie nas czekały pokoje wygodne i obszerne. Z okien mojego pokoju widok był na staw rozległy, a za nim szarzały dalekie sosnowe lasy. Kilka książek leżało na półce przy łóżku, zajrzałem do nich przez ciekawość: wszystkie były mi nieznajome i świeże, jakby wybrane umyślnie. Czytałem też długo, a raczej marzyłem z książką w ręku.

Nazajutrz rano przysłano do mnie z zapytaniem: czy chce towarzyszyć pannie Irenie na ranną przejażdżkę? Pochwyciłem tę zrećzność zbliżenia się do niej, i wkrótce ubrany pobiegłem ku domowi. Konie już stały przed gankiem. Koniuszy nie chcąc zapewne samych nas puścić, choć nie bardzo lubił przejażdżki nadaremne (to jest bez chartów), dosiadł wszakże kasztanowatego mierzyna, który mu był przeznaczony.

Pani Lacka pokazała się nam tylko przez okno, prosząc Ireny, żeby nie bardzo dokazywała. Ona w tym samym stroju, jaki miała w Turzej Górze, skoczyła lekko na żywego konia, i przodkując nam, puściła się galopem ulicą. Ja trzymałem się przy niej: koniuszy wiele miał biedy z koniem powolnym, który był niesłychanie narowisty, jak większa część rumaków tego temperamentu, a może i ludzi. Irena poprowadziła nas drogą, po nad ogrodem i stawem idącą, ku lasom; z jaką dzielnością, odwagą i wdziękiem kierowała koniem swoim, jak była na nim zrećzną i śmiałą, nie mogę opisać, lecz chciałbym mieć ołówek w ręku!

Większa część kobiet, co konno jeżdżą, wyłącznie są koniem zajęte: ona zdawała się nie uważać na swego i żywą z nami prowadziła rozmowę. Widoki otaczające, barwy późnej jesieni, kraj dokoła otwarty, dostarczały

nam wątku do snucia myśli, które z tej przędzy wywijały się różnobarwne i leciały w te krainy niepamięci, gdzie jak na dnie mórz, koralów i konch perłowych, tyle ich ukrytych, zapomnianych tonie. Towarzysz nasz oprócz złego humoru, tajonego usilnie, nabrał jeszcze na przejażdżce, pasując się z koniem, zniecierpliwienia i gniewu.

Jechaliśmy zwolna po nad brzegiem lasu, który dotykał do stawu. Z jednej strony nachylały się nad nami gałęzie suche drzew, огоłocone prawie z liści i sosen zielonych; z drugiej na piasek żółty pluskały fale, wiatrem poruszone; wąska ścieżyna snuła się między lasem a wodą. Cisza uroczysta, cisza wsi była nad nami; zdala tylko turkot wozu, krzyk gęsi lub rozmowa wieśniacza, dolatywały nas niekiedy. Irena zamyśliła się i wskazując krajobraz przed nami, zawołała:

— Mój Boże! możnaż pożądać miasta?

— Spytaj pani o to tego łotra Jerzego — rzekł złośliwie koniuszy, który się pluszcząc w stawie do Ireny przybliżył.

Ona spojrzała na mnie ciekawie, ale jakby bez odpowiedzi mojej wyczytała z oczu, że w tej chwili wcale miasta nie pożądał i nie tęsknił za niem, odezwała się:

— Ci tylko miasta pragną i miastem żyć mogą, co myśleć nie chcą, co nie są w związku z Bogiem i stworzeniem; próżni uczucia i myśli, sztucznem żyjąc życiem, pragną zadurzyć się i zagłuszyć, chcą życie uczynić igraszką. Wśród tego zgiełku i wrzawy, wśród tego tłoku wrażeń, rozszarpujących wewnętrzznego człowieka, możesz on mieć czas pomyśleć o sobie, o Bogu?

— Zareczam — rzekłem — że miasto jest dla mnie zupełnie obojętne, ale...

— Jakież ale ?

— Miasto dla społeczeństwa przedstawia żywioł ruchu i postępu umysłowego.

— Przepraszam, miasto żyje tem co mu ze wsi dowiozą : i jak na targ potrzebuje codziennie wiejskiego zboża, potem wioski zapracowanych żywności, tak dla umysłowego życia trzeba mu także owocu pracy wiejskiej. Większa część znakomitych pisarzy, lub co lepiej, wielkich myślicieli, żyła i żyje na wsi. Jan Jakób, jak wiecie, wytrwać nie mógł w mieście : szukał wsi w pośrodku niego nawet.

— O! filozofka! — zawołał mój dziad.

— Żeby myśleć płodnie, trzeba skupić się w sobie — mówiła dalej — a w mieście człowiek ciągle podburzony jest do wylania się na zewnątrz, zużywa się wrażeniami; potem — dodała — człowiek w mieście się psuje, jestem o tem przekonana. Widok tyła złego, które się co dzień o oczy obija, nie może być bez wpływu: ściera z nas świeżą barwę młodości.

— Stare maksymy! — przerwał zuowu koniuszy. — Nie nawrócisz pani tego mieściucha, który tu z nami nie wyżyłby kilku tygodni.

— Dla czego? — spytałem.

— Dla tego — odpowiedział stary, nielitościwie śmiejąc się — że tn nie ma teatru, a może aktorek, nie ma szumnych balów, wieczorów, gry, i życie sobie płynie jak zegarki idą : puk, puk, puk, puk! jednostajnie.

— Prawda, jednostajnie aż straszno! — zawołała Irena. — Człowiek stworzony jest do czegoś lepszego a stalego, niezmiennego; tymczasem czuję, że stalego nie

nie ma. Ile razy dla niego trwa dłużej jedno, lęka się... egoista!

— Ta przestraszająca jednostajność jest dowodem szczęścia — rzekłem. — Boim się stracić to tylko, co wysoko cenimy.

— Szczęście! szczęście! — mówiła Irena jakby do siebie. — Tak! to może ten pokój wioski i ustronia cichego: innego nie ma.

— O! jest inne! — zawolałem.

— Pan jeszcze w nie wierzysz? — spytała, odwracając się ze smutnym jakimś uśmiechem.

— Ja?... wierzę... nie wierzę... ale się go zawsze spodziewam.

— Szczęśliwy! Nadzieja szczęścia jest już szczęściem sama.

Zamilkliśmy. Jakiś czas jechaliśmy potem nic nie mówiąc. Koniuszy i jego koń rwali się do domu. Irena wypuściła swego karuszka prawie cwałem, i tak spieszenie lecąc stanęliśmy u ganku. Konie pana koniuszego stały zaprzężone.

— Co to jest? — spytała gospodyni.

— Jedziemy — odparł stary.

— Jak to być może?

— Pan Jerzy się spieszy — rzekł koniuszy.

— Pan Jerzy! możeż to być?

Milczałem, nie chcąc ani potwierdzić słów dziada, ani mu zaprzeczyć. Ona szepnęła mu coś znowu na ucho: stary się opierał, trząsł głową; powiodła go w galerję i mówiła długo, żywo i tak skutecznie, że nareszcie konie wyprządz kazano. Ale zostawszy na prośby Ireny, koniuszy w najbezpieczniejszy wpadł humor; fraszka był jeszcze wczorajszy. Nie mogąc się na nikim

mścić, prócz na mnie, dal mi się straszliwie we znaki.

Ale widzę, że list przeciągnął się nad wszelką miarę przyzwolitą, tak, że mógłby już obszernością swoją najdziksze domysły pocztmejstrów usprawiedliwiać; kończę go spiesźnie, a raczej urywam. Z następującego dowiesz się o losach wiernego waszego przyjaciela

Jerzego.

V.

Turza-Góra, dnia 23. listopada.

Kochany Munciu! Nie wiem doprawdy na czem stanąłem, pisząc przed kilką dniami do ciebie; potrzebuje się z kimś podzielić i siadać znowu do listu, opowiadać dzieje mojego pobytu na Polesiu.

Zdaje mi się, że mi się zatrzymał na tem, gdy koniuszy, zmożony prośbą czy rozkazem (to rzecz dla mnie nie rozwiązana) Ireny, pozostał ze mną w Rumianiej.

Zaledwieśmy wstali od stołu, gdy przez okno postrzegł koniuszy nadjeżdżającego z Turzej-Góry kozaka. Wybiegł do niego niespokojny. Jakoż było czego: ekonom donosił, że korzystając z nieobecności dziada, kapitan polował w lasach turzo-górskich, od granicy Kurzyłówki, wprowadzie niedaleko się zapędziwszy, ale właśnie w ten ostęp, w którym sarny hodowano i gdzie nikomu strzelać nie było wolno.

Znać potrzeba namiętność koniuszego do myśliwstwa, żeby sobie wyobrazić, jaka go ogarnęła wściekłość, jaki go szal opanował, gdy tę wiadomość odebrał. Natychmiast rozkazał konie zaprzęgać i sposobić do drogi, a

sam chodząc wielkimi krokami po pokoju, zaglądał od okna do okna, czy nie zobaczy powóz, i powtarzał:

— W łeb szelmie wypalę!

Irena uspokajała go tem, że ludzie przez zbytnią gorliwość mogli fałszywą zburzyć go napróżno wiadomością: on jednak nie słuchać nie chciał.

Kilka razy rzucił na mnie okiem badającym, jakby się upewnić chciał, czy mu towarzyszyć będę; nareszcie spytał mnie nagle:

— Spodziewam się, że jedziesz ze mną?

— Naturalnie! — odpowiedziałem.

— Dla czego naturalnie? — spytała Irena. — I po co pojedzie pan Jerzy? Jabyśmy właśnie prosila, żeby pozostał; na powrót dam mu konia, czy konie, jak zechce.

— Dla czego nie ma jechać ze mną? — odburknął koniuszy.

— Bo panu tam na nic niepotrzebny, a dla mnie miłym jest gościem.

Podziękowałem nklonem tylko. Koniuszy znacząco spojrział na nią i usta zaciął.

— Miłym! — powtórzył przez zęby cedząc i ruszając ramionami.

— Zresztą — mówiła Irena — wieczorem go puścimy. Na dzisiejszy dzień spodziewam się obu panów Grabów, a nie powiesz, kochany opiekunie, żeby poznać ich nie było warto?

Dziad odwrócił się z jakąś desperacją, pochwycił czapkę i rękawiczki, dostrzegłszy zajeżdżający powóz i rzekł z przyciskiem do Ireny:

— Jako opiekun, przestrzegam cię kochana pani. Młode chłopię, a do tego mieszczone, głowa przewrócona

lekkością kobiet: powiedz mi, co on sobie wnosić gotów z tego zatrzymywania, hę? Gotów się biedaczysko na darmo podkochać. Na darmo! — wymówił jeszcze raz z przyciskiem — bo że na darmo, Boże mnie skarż! o! na darmo!

— Dziękuję ci, kochany opiekunie, za przestroge — rzekła Irena, śmiejąc się — ale nadto mam dobre wyobrażenie o panu Jerzym, żebym go o zarozumiałą płochość posądzala. Zapraszam go, bo nam wesoło i dobrze czas z nim zchodzi, i jemu podobno, jeśli nie nadto sobie pochlebiam. Gdyby na mocy grzeczności i przyjaźni chciał prawa do czegoś innego tworzyć, wiesz kochany koniuszy, że bez niczyjej pomocy, powiem mu w porę co będę myślała. Znasz mnie przecie.

To mówiąc, podała mu rękę, a stary wskoczył w powóz, i rozkazawszy nie oszczędzać koni, pędził szybko wprost ku zagrożonemu ostępowi. Opowiadał mi potem jak się spotkali z kapitanem. W istocie kochany sąsiad zapędził się był w cudzy ostęp, ale, jak dowodził, przez niewiadomość granic; do tego ani razu nie strzelił, i odebrawszy przestroge od pobereźników, cofnął się zaraz we własne lasy. Zajadły koniuszy dowiedziawszy się od swoich ludzi, że obozuje nie daleko granicy pod dębami, udał się tam, nie wstrzymany uwagą, że wcale nie było o co się upominać.

Kapitan poskoczył ku niemu w uniesieniu najgorętszej przyjaźni: odpychającego obrzucił pocalunkami i uściskami, wysmekał, wydusił i posadził gwałtem na kłodzie, nie dając prawie ust otworzyć.

— Ale do stu trąb! — zawołał rozjuszony koniuszy — ja tu się klócić przychodzę. Waćpan-bo, panie kapitanie...

— Klócić się? — przerwał sąsiad — my z sobą? my

z sobą się kłócić? A! panie! ze mną, co go szacuję i kocham jak ojca! ze mną, cobym się dał za niego porąbać! Nie, nie, nie spodziewam się tego nieszczęścia!

— Ale do kaduka! po cóż w moje lasy włączysz? Wiesz, żem myśliwy, znasz granice.

— Ja! ja! do cudzej wdzierać się własności, ja popelnić co podobnego?! A! serce mi rozdzierasz, kochany panie koniuszy. Nie, nie sądzisz w głębi serca, abym do tego był zdolny.

— Ale po cóż wpakowałeś się w mój ostęp?

— Czysta omyłka, zapęd! Spytaj swoich ludzi czym polował? czym strzelił?

— Ale ba! psy puściliście i popłoszyły mi sarny.

— Psy zabiegły same. Wiesz szanowny panie koniuszy, co to psy, gdy zwietrzą! Cóż dopiero gdy z oka pogonią! Daruj...

— Ale ja się gniewam.

— Co! pan na mnie? Miałbyś się gniewać na swego sługę, na najżyczliwszego sobie?! Nie, nie, tego nieszczęścia nie będzie! Jabym to odchorował! Nie, nie! Pan żartujesz i straszysz mnie tylko.

— Wcale nie. Gdybyż gdzie, ale w Zajamiu polować? Najlepszy mój ostęp!

— Ale czyżem polował?

— Wszak popłoszyliście moje stado sarn?

— Słuchaj pan — zerwał się kapitan — oto ręka moja: daję słowo, że nie miałem intencji wyrządzić ci przykrości. Wszystek mój las sobie spoluj, słowa nie powiem; w twoim więcej noga moja nie postanie. No! ale nie gniewajmy się.

Koniuszy rad-nie-rad musiał udobruchać się narzeczcie, ale warczał ciągle i wrzał w sobie.

— Ale dla pewności, że jeden w drugiego las nie wejdzie — rzekł kapitan, podając wódeczkę i zakąskę — czy nie uznałbyś pan słusznem pobić tryby na granicy?

— Tryby na granicy? a zapewne!

— Otoż i ja z całego serca za tem jestem. Od kopca do kopca pobić tryby: będziemy mieli rozgraniczenie pewne. Zgoda?

Kapitan tak potrafił o konieczności trybów przekonać zapalonego myśliwca, który się bał o swoją zwierzynę, że ten zezwolił na ich wycięcie. Niestety! wcale się nie domyślał, jaką zdradę kryły w sobie.

Ale powróćmy do Rumianej. Ty się będziesz śmiał, kochany Edmundzie. Znałeś mnie całkiem innym; za żart weźniesz w początku to, co najszczerzej z głębi serca ci napiszę: kocham i kocham bez nadziei! Ty i ja znaliśmy dawniej tylko tę łatwą miłość salonów warszawskich, co się kończy nie wiedzieć na czem, tak jak nie wiedzieć od czego poczyna; znaliśmy też inną, drugą, która wiemy na czem się kończy, a poczyna nie z serca, lecz z kieszeni: ale takiego świętego, wielkiego, czystego uczucia, które, kładąc obok tamtych, nie godzi się profanować, myśmy nie przeczuwali nawet. Ja czuję się teraz odrodzonym, nowym człowiekiem: wierzę, spodziewam się, żyję. Moje ubóstwo nie przestrasza mnie wcale. Świat, co dla mnie stracił był barwy, wonie i wdzięki, otacza mnie uowy, młody, ponętny. Ja sam pragnę pracy, nieledwie cierpienia, aby się niem obmyć z brudów przeszłości. A to wszystko jest dziełem kobiety! Nie, nie, nie mogę pisać dziś dłużej. Bądź zdrów!

Jerzy.

VI.

Panu Jerzemu Suminowi

przez Lublin, Chełm, Luck, Korzec, w Turzej-Górze.

Warszawa, dnia 5. listopada.

Kochany Jurku nasz, kochany, pocziwy pielgrzymie, jak się masz? Nie umarłeś jeszcze z nudów? nie zjedli cię wilcy lub niedźwiedzie? nie zamordował cię zrozpaczony Staś? nie otruli cię kolateralni pana koniuszego dziedzice? Żyjesz-li jeszcze? żyjesz? My po tobie żałobne u Marego odprawivszy nabożeństwo, powiedziawszy dwie piękne, choć krótkie mowy pogrzebowe, z których jedna brzmiała: biedny chłopiec! druga: kiep i po wszystkim! powoli zaczynamy ciężkie strapienie i sieroctwo nasze zaponinać, i z grubej żałoby zchodzim niezaacznie na coraz lżejszą.

Jeden tylko Szmul Malsztejn uparty jest i zakamieniały w żalu swoim; bo Mary, któremu zawiniłeś coś, *jeszcze* wierzy w twoje zmartwychwstanie, i z prawdziwym heroizmem ntrzymuje, że mu zapłacisz. Napróżno się śmiejemy z niego: on swoje. Co się tyczy Lory, ta kocha cię teraz daleko mocniej, niżeli kiedy tu byłeś, ciągle mówi o tobie, ciągle wzdycha za tobą: zwyczajnie kobieta, kocha to, czego nie ma.

Alfred, od którego wygrałeś koczyc na podróż ci potrzebny, zniósł heroicznie, że nie czekając rewanzu, uprowadził swą zdobycz w niedostępne kraje, które oblane łzami Owidjusza (nie wiem gdzie ja to czytał, ale mniejsza o to), na pamiątkę tych drogich lez rzymskiego poety, na wieki wieków w grzęzawicę i błota się zmieniły.

Znieś-że i ty mężnie, gdy ci powiem, że miasto żyje, wre, kipi, choć ciebie tu nie ma, jak gdyby mu nic nie ubyło, niczego nie zabrakło; owszem, zbliżająca się zima zdaje się życia miastu dodawać. Tak w naszym żywocie *sztucznym*, gdy całe przyrodzenie obumiera, nowy ruch wpływa w skostniałe społeczeństwa członki.

Co do mnie, kochany Jurku, choć ty, widzę, zakrawasz w twych listach coraz bardziej na moralistę, rygorystę i człowieka *czułych nerwów*, tak, że wkrótce spodziewam się ujrzeć cię w habicie mniszym, kążącego do nas zepsutych, na modnej mszy u Kapucynów: przyznam ci się wszakże, że nie mam najmniejszej ochoty rzucać za twoim przykładem starych nałogów i przywyknień, dla jakiejś tak nazwanej poprawy życia. Nie-stety! zatwardziały grzesznik ze mnie: nie potrafiłbym wytrzymać w cichej, głuchej atmosferze nieznośnej wsi; nie rozumiem nawet jak ty tam żyjesz i czem żyjesz. Ja odłożyłem moją poprawę do zjawienia się podagry i ożenienia mego; to zaś prędzej nie nastąpi, aż zęby mi wypadną i nowe sobie wstawić każę. Naówczas poszukam bogatej kupcowny lub córki rzeźnika z Pragi i rozpocznę dni spoczynku i pokuty we dwoje.

Donoś mi prośbę, regularnie, co się tam z tobą dzieć będzie: pomimo tego bowiem, że się po stracie twojej pocieszamy jak możemy, wiesz, że bez żartu kocham ciebie; powtóre, w twoich wrażeniach i myślach (jeśli nie wypadkach, bo te są czysto-osobiste i własne twoje) upatrywać będę, przeglądać się, domyslać, coby się też ze mną stało, gdybym ja na podobne Owidjuszowemu i twojemu wygnanie został skazany rozpaczą i golizną? Ciekawe dla mnie studjum.

U nas nic a nic nowego. W tym steku nowości nic

nie robi wrażenia, i dlatego tylko wyrażam się, że nie ma nic nowego. Potrzebujemy kolosalnych nowości, jak na przykład przybycia Loli Montez i tragicznego jej wyjazdu, żeby się poruszyć.

Szumł udaje obojętność i nie wypytuje się nawet o ciebie: Lora dostała się jednemu z dwóch młodych książąt... znasz go. temu co nigdy nie gada... jedni utrzymują dlatego, że nie raczy, drudzy, że nie umie. Bardzo jest z niego kontenta, bo wcale nie zazdrosny, *la jalousie est canaille*, zarówno względem żony, jak względem (jakże się to tam teraz u ciebie nazywa?), względem... Patrzcie! na obyczajne wyrażenie stanu Lory nie ma wyrazu w naszym języku barbarzyńskim*).

Wybija godzina teatru. Dają dziś w Rozmaitości nową sztukę Korzeniowskiego: moda każe mi iść, choć przyznam ci się, że balet wolę nadewszystko. Najlepiej dotąd rozumiem poczęcie pięknych nóżek i popiersi dziewczycy (?).

Więc żegnam cię! Twój zawsze najprzywiązany

Edmund Susza.

P. S. Jeżelibyś do nas jakim przypadkiem powracał, pamiętaj, że z Polesia przywozi się do Warszawy zwykle: 1) sarna lub dzik, 2) faska rydów marynowanych i 3) trufle. Trufle są *de rigueur*: wiesz jak my ich potrzebujemy, a jak nielitościwie drogie u Mary. Nie zapomnij — że o nich.

* Myli się autor listu: starzy Polacy nazywali *panią duszką* tego rodzaju kobiety.

VII.

Panu Edmundowi Suszy w Warszawie.

Turza-Góra, dnia 24. listopada, rano.

Nie wiem dla czego tak szczegółowo dzieje ci moje opisuje. gdy ty, wedle wszelkiego podobieństwa, tylko się śmiać z nich będziesz. Potrzebuję się z kimkolwiek podzielić uczuciami, myślami. i piszę. A! nie poznałibyście mnie, nie poznali!

Sluchaj! Po wyjeździe koniuszego, zostałem w Rumianie, z jaką ochotą, domyslać się możesz; ale nie sądził wcale, żebym, jak to u nas mówi się i czyni, z czasu korzystał. Zakochany od pierwszego wejrzenia, byłem i jestem w tak dziwnem położeniu, skutkiem kilku wyrazów mego dziada, a bardziej skutkiem wrażenia, jakie na mnie czyni poważne oblicze królowej Ireny, że nie mogę ani okazać co się w sercu dzieje, ani nawet dozwolić tego się domysleć. Powtórzyłem ci, zdaje się, słowa, które powiedziała, gdy koniuszy odjeżdżał. Dziad posadziłby mnie po prostu o chciwość i projekt bogatego ożenienia, bo wie, że ja dziś ubogi a ona miljonowa; kto wie, czy i reszta ludzi nie pomyślałaby tegoż samego: muszę więc kochać i milczeć. Zamknąłem się w sobie cały i okryłem obojętnością, która mnie wiele kosztowała. Cóż na to powiesz, że to cierpienie znoszę z rozkoszną jakąś dumą?

Cierpieć dla niej wydało mi się rzeczą miłą; podsyłam cierpienie, aby je czuć mocniej i niem przed sobą się chlubić. Niem stare moje samolubstwo spędzam z ostatnich jego legowisk. i wyganiem dawnego człowieka.

Ranek przeszedł jak dzień poprzedzający, szybki, niepochwycony. Dwie panie moje siedziały nad robotą; ja im czytałem. Jak były piękne! mój Boże! Ta w pełni życia, siły, uczucia, promieniejąca pięknnością; druga na ostatnim szczeblu młodości, a tak surowa, smutna, zmęczona cierpieniem, milcząca i na wszystko obojętna! Mało mówiłem ci o pani Lackiej, chociaż, gdyby nie było Ireny, ona by mnie swoją tajemniczą postacią niepospolicie zająć mogła; ale przy słońcu gaśnie ta smutna gwiazdka. Nieraz jednak zadawałem sobie pytanie: co ona przecierpiała? co cierpi? z kąd tak wczesna a tak wielka obojętność jej na wszystko i prawie pogarda?

Chciałem bardzo dowiedzieć się co od panny Ireny o jej towarzysze, ale zbyła mnie ogólnikiem; sama zaś pani Lacka bardzo mało mówi, i nigdy o sobie: tak więc nic nie wiem kto ona jest i jaka przeszłość ciąży nad nią?

Na poobiedzie mieliśmy zapowiedziane odwiedziny tego pana Graby, o którym wspomniał mi kapitan, że go powszechnie nazywają *dziwakiem*. Jakoż około czwartej usłyszeliśmy tętent koni, i Irena zerwała się tak żywo, że m pozazdrościł nowemu gościowi.

— To pan Graba!

— Pan Hutor-Graba — dodała Lacka z przyciskiem. — Całe jego nazwisko mów, Ireno.

— Dziwnie się ten pan nazywa!

— Zobaczysz pan — rzekła uśmiechając się Irena — że człowiek od nazwiska dziwniejszy. Ostrzegam pana, miej się na baczności.

Uśmiechnąłem się.

— O! nie śmieć się pan: możeś mnie nie zrozumiał. Człowiek-to straszny swoją cnotą i surowością tylko.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł zapowiedziany sąsiad; ale daruj mi, że dłużej nie piszę i list nad miarę krótki ci przyszlę. Pisać w tej chwili nie mogę, nie umiem; chcę myśleć i być sam z sobą. Bądź zdrów!... do przyszlęj poczty reszta.

Jerzy.

Listy Jerzego, z których wypisy początek naszej powieści stanowią, na tym urywku się kończą, i przerwane nierychło w zbiorze naszym wiążą się znowu w pewną całość. Musimy więc opowiadaniem zastąpić, czego w nich tutaj braknie.

VIII.

Dwaj przybyli, którzy weszli do salonu, stary pan Hutor-Graba i Jan syn jego, na Jerzym, przygotowanym ujrzeć coś bardzo dziwnego, nie uczynili w początku tak wielkiego, jak się spodziewał, wrażenia.

Hutor-Graba, którego zwano starym, zapewne tylko dla odróżnienia od syna, bo ani istotny jego wiek, ani pozorną starością napiętnowana twarz, nie usprawiedliwiały nazwania: był średnich lat mężczyzna. Powaga i łagodna dobroć malowały się w jego rysach, świeżych jeszcze i niezwydłych. Mógł mieć lat około pięćdziesięciu, ale czerstwy był i w pełni sił, tylko ku skroniom włos krótko podstrzyżony nieco się srebrzeć poczynął. Męskiej postawy, pięknego oblicza, zbudowany szczególnie, snycerzowi mógł być służyć za wzór do uosobienia siły w spoczynku, pewnej siebie, znającej się i połączonej z najwyższą łagodnością i rozumem.

Spojrząwszy nań, widziałeś od razu, że siły tej nie

dawało ciało, ale dusza; że nią darmo nie obdarzyła organizacja, ale długa i uparta, największa z prac ludzkich, praca nad samym sobą.

Wyniosłe, gładkie, białe do połowy czoło, od połowy ogorzałe, wznosiło się nad dwojgiem oczu sinych, otwartych śmiało i świecących jasno. Brwi nad nimi zwieszały się nieco i ocieniały dwoma łukami źrenice, pełne spokojnego i łagodnego ognia. Nos sarmacki, pod nim wąs zawieszisty i usta rumiane, uśmiechające się poważnie a nieco smutnie, dopełniały fizjognomji, którą malarz lepiej od powieścio-pisarza odmalowaćby potrafił, tak i w niej na pozór pospolite pierwiastki składały zastanawiającą i niepospolitą całość. Trzymał się prosto i nieco po żołniersku, ale nie bez męskiego wdzięku. Pierś szeroka, ramiona rozłożyste, postawa zręczna, ręka i noga kształtne, odpowiadały piękności twarzy, która nosiła cechy rodu słowiańskiego i była czysto-krajową. Znać, do krwi, która w żyłach jego płynęła, żaden obcy nie wmieszał się pierwiastek.

Ubrany był bardzo skromnie, tak jak tylko na wsi do cudzego domu w odwiedziny przyjeżdżać można: miał na sobie szaraczkową z cienkiego sukna węgierkę, takąż resztę ubrania i czarną jedwabną chustkę na szyi. W ręku trzymał czapkę, krojem zbliżającą się do wieśniaczych poleskich czworograniastych czapek, używanych pospolicie na lato.

Syn, idący za nim, prawie tak samo jak ojciec ubrany, twarzą różnił się nieco od niego. Tu typ słowiański zlał się z jakimś odmiennym, niewiadomego pochodzenia typem: włosy ciemniejsze, prawie czarne, pełne życia oczy, śniadsza pleć, łączyły się z kształtami, wielkie podobieństwo do wyżej opisanych mającemi. Budowa

ciała, rysy twarzy, bardziej jeszcze ułożenie i uśmiech ust pełen godności, przypominały ojca i nieznajomemu wskazywały, jaki węzeł łączył dwóch przybyłych.

Rzuteń oka obejrzał starszy kto się znajdował w salonie, i podszedł ku gospodyni, która powitał z uśmiechem wesołym i poufalskim.

Irena powstała z kanapy żywo, i podając reke gościowi z życzliwością, której nie taila, pozdrowiła go serdecznie:

— Al jakżem pana wyglądała!

— Dziękuję pani. Znając mnie — mówił, witając do-koła — wiesz, że nie umiem wiele grzeczności prawie, ale co powiem, to z głębi serca i szczerze. Dziękuję z głębi duszy, dziękuję!

Jerzy, uprzedzony o Grabie, powstał z niejaką bo-jaźnią i uszanowaniem dla powitania go, gdy gospodyni wzajem ich sobie przedstawiała. Stary Graba sklonił się uprzejmie, wejrzeniem przenikliwym objął młodzieńca, i usiadł za okrągłym stolikiem. Syn tymczasem zbliżył się do pani Lackiej, która z widocznem nienkontentowaniem i dumną obojętnością powitawszy obu, teraz na pytania i usilnie poczynaną rozmowę ledwie pół-słówkiem odpowiadała. Irena jeszcze raz podziękowała Grabie za przybycie.

— Dziwna rzecz, że mnie pani za to dziękujesz — odparł, uśmiechając się, przybyły — pani, co tak mnie znasz dobrze i tak dobrze rozumiesz. Nie wart jestem żadnego podziękowania, bo wszelkie odwiedziny moje pochodzą albo z samolubstwa, albo z obowiązku. Samolubstwa zachęcać się nie godzi, a spełnienia powinności nie należy chwalić, ani za nie dziękować.

— Jakże, kochany sąsiedzie, miałżebyś tylko dla przyjemności własnej lub z musu ocierać się o ludzi?

— Porozumiejmy się lepiej — odpowiedział gość z uśmiechem, opierając się na poręczy krzesła. — Po-
spolicie ludzie do ludzi jeżdżą dla zabicia czasu, dla
tego co nazywają światową przyzwoitością, dla przyczyn
wreszcie, z których sami sobie dobrze sprawy nie zdają,
naprzykład przez ciekawość!

— A wy, kochany sąsiedzie? — zapytała trochę iro-
nicznie Irena.

— Śmiejesz się pani, dajesz mi do zrozumienia, że
się nie godzi chwalić. O! ja też tego wcale czynić nie
myślę: mówię tylko jak jest; anim lepszy od drugich,
bo ileż błędów życia ciąży na moich barkach! Ale
wróćmy do odwiedzin.

— Tak, zróbmy naprędce ich fizjologję.

— Otoż — mówił powolnie Graba — ja nie jadę do
nikogo dla zabicia czasu, bo czas mój cenię nadewszystko.
Czas mój, to moja przyszłość, moje udoskonalenie, naj-
pierwszy i niezbędny czynu materiał; przyzwoitości
świata nie uznaję przyzwoitościami dopóty, póki ich nie
wyrozumiuję. Odwiedzam tylko tych, których kocham i
widzieć pragnę, lub których nie kochając, użytecznym
im być się spodziewam.

— O! — zawolala, śmiejąc się Irena — przypominasz
mi pau, jak go ostatnim razem przyjął kapitan.

— To mniejsza.

— Pan nie wiesz — rzekła gospodyni, obracając się
do Jerzego — gdyby nie przytomność bohatera tej sceny,
opowiedziałabym ją pauu, bo warta tego.

Pan Graba spuścił oczy i zamyślił się na chwilę.

— Opowiedz ją pani, jeśli się jej podoba — rzekł,

zamilknawszy i jakby namyśliwszy się — będzie to powodem do odmalowania nieznajomemu gościowi sąsiada, *dziwakiem* zwanego przez wszystkich, zapewne nie bez przyczyny.

— A więc będę korzystać z pozwolenia — szybko poczęła Irena, zwracając się na wpół ku Jerzemu, wpół ku panu Grabie, który w niej wlepił długie, pełne wyrazu wejrzenie. — Najprzód wystaw pau sobie, że szanowny mój sąsiad ma zasady postępowania i prawidła życia całkiem różne od tych, któremi się my biedni kierujemy.

— Różne nie, ale śmielej może idące do celu.

— Jakież jest cel życia? — spytała Irena. — Nie jest-li to jeszcze i nie będzie zawsze zagadką?

— Zagadką? bynajmniej! — rzekł pan Graba. — Jasną i wielką prawdą jest, że celem życia... być użytecznym bliżnim, a umysłem i czynem wznosić się jak najwyżej, jak najbliżej ku bóstwu, którego jesteśmy obrazem.

— A więc?

— A więc do udoskonalenia własnego, do zużytecznienia wszystkich sił naszych, wszystkich chwil życia, całą potęgą dążyć powinniśmy. Oto cel.

— Głównym zaś środkiem? — spytała, poważniejąc Irena.

— O! to, co mówimy, ma minę kazania; ale kończmy gdyśmy poczęli. Środkiem jest praca i ofiara. Bez trudu nad sobą i poświęcenia dla bliżnich, ani pomocnymi społeczeństwu, ani sobie samym czym być powinniśmy, nie będziemy.

— Widzi pan — przemówiła Irena — jakim jest mój drogi sąsiad. A nie są to czcze słowa, ale określenie jego życia, tego co czynił i czyni. Nie wiem czy się

pan domyślić możesz, jak często dziwne wypadki z zastosowania ścisłego tych prawideł do życia wynikać musiały?

Jerzy się uśmiechnął.

— Wszyscy — rzekł — uglisto przed sobą widzimy cel podobny, ale iść do niego śmiało i prosto nie zawsze nam pozwoli społeczność otaczająca, a raczej nasze dla niej uszanowanie. Życie stałoby się krwawym bojem.

— I nim być musi dla każdego, co je z powagą jako brzemię, jako obowiązek, jako wielką misję spełnia — odezwał się pan Grabą.

— Ale myśmy daleko zabiegli od opowiadania — zawolala Irena — wracajmy do niego. Pan Graba — mówiła — ile razy sądzi, że komu może być pomocnym radą, słowy, czynem, pośrednictwem, choćby nieznanym, choćby nie proszony, przybywa jak... (jak wy to panowie zowiecie po łacinie?).

— Zapewne *Deus ex machina* — cicho szepnął syn, z wyrazem przywiązania i nwielenia spoglądając na ojca.

— To właśnie. Ależ nie zawsze nda mu się być użytecznym, a najczęściej, gdy się uda między zwaśnionych, od obu stron znieść musi niegrzeczne odtrącenie. Przed kilką tygodniami kapitan, mój krewny, powadził się biedny o granice (co mu sie często przytrafia) z panem podkomorzym. Oba popędliwi nad wyraz, z tą tylko różnicą, że kapitan tłumi w sobie popędliwość i pokonywa ją pozorem kłamanej obojętności, gdy podkomorzy wcale nie dba o to, że się cały na zewnątrz jakim jest okaze, choćby się za to miał wstydzić. Pan Graba dowiedziawszy się, że zjechać się mieli, przewidział z góry, jakich ostateczności dopuścić sie mogą, gdy po długim

sporze zaocznyim nagłe zejda się oko w oko. Pozorna zimna krew kapitana jątrzyć musiała podkomorzego: gniewne wybuchy starca, jak domyśleć się łatwo, zamiast przybliżyć zgodę, niesłuchanie ją oddalać musiały, lub całkiem niepodobną uczynić. Zaczny mój sąsiad zasłyszawszy o zjeździe, choć obu zaledwie znajomy, postanowił przybyć w charakterze pośrednika na dzień umówiony.

— Dodaj pani — rzekł pan Graba — jeśli już chcesz drobną ofiarę chwili spokojności podnieść nad bardzo pospolicity uczynek, dodaj pani, że jak prawie całe sąsiedztwo, kapitan i podkomorzy, zapewne z winy mojej, nie lubią mnie wcale.

— Zjazd miał miejsce u pana podkomorzego: dwóch prawników, ci panowie sami i jeszcze ktoś z sąsiadem, pan Dudycz podobno, znajdować się tam mieli. Pan Graba zjawia się niespodzianie.

— Ale to opowiadać nie warto — rzekł gość — skończyło się na tem, że obie strony zgodziły się przecie.

— Tak, zgodziły się na to — dodała śmiejąc się Irena — żeby pana dość niegrzecznie wyprosić.

— Czemu pan mogłeś na to zasłużyć? — spytał Jerzy.

— O! zasłużyłem bardzo! Jest to moim zwyczajem mówić zawsze i wszędzie całą prawdę w oczy każdemu. Spytany, wcale nie pokrywam niczem tego, co myślę. Sądę, że to jest obowiązkiem człowieka szanującego siebie i tych, z którymi się ma do czynienia. Dzieciom tylko, i to jak można najkrócej, całej prawdy nie mówimy, dlatego tylko, że pojąćby jej nie mogli.

— Ale ktoś lubi prawdę? — spytała Irena.

— Prawda podoba się niewielu: jest to dość gorzka

potrawa, którą dajemy chętniej niż przyjmujemy, do której przywyknąć potrzeba.

— Koniec końcem, sąsiad tak wielką dozę prawdy obu stronom zwaśnionym dał na raz jeden bez przygotowania, że ledwie nie zlażany...

— Mów pani jak było, nie taj przed przybyłym: gorzej niż zlażany.

— A! niestety! prawie wypchnięty, musiał uciekać z domu podkomorzego. To pana nauczy na drugi raz omijać cudze sprawy.

— Przepraszam, to mnie na nieszczęście niczego nie nauczy — rzekł Graba. — Jeżeli na dziesięć bezużytecznych pokuszeń, jedenasty raz przydam się na co, dosyć mi będzie. Wreszcie, głybym i bez końca miał daremnie pracować, obowiązek pracy pozostanie dla mnie niezachwianym do ostatku.

— Ale, wyznaj sąsiedzie — zapytała Irena — że zbyt ostrą prawdę powiedziałeś w oczy obudwu tym panom?

— Nie, całą tylko. Prawidłem jest dla mnie w oczy sądzić surowo, za oczy z umiarkowaniem, a o nieprzyjaciolach osobistych nie nie mówić, obawiając się samego siebie i uczuć, które na sąd wpływać nie powinny.

— To sofizmat! — odezwała się pani Lacka. — Jakto, uczucia na sąd wpływać nie powinny? Ale czyż rozum zawsze sądzi sprawiedliwie? czy uczucie nie często lepiej od niego?

— Być może — odparł pan Graba — ale sąd rozumu bezpieczniejszy. Zresztą zgadzam się na sąd uczucia przyjaznego, ale wszelkie osobiste zajście od sądenia wstrzymać powinno.

Słowa pana Graby, opowiadanie Ireny i cały ten wstęp do rozmowy, dziwne na Jerzym uczyniły wrażenie:

nie on nigdy podobnego nie słyszał. Wyrazy te, powagi i głębokiego uczucia pełne, obłyły się o jego uszy, jak głos z innego, nieznanego mu świata. Wobec tej sfery myśli, z której one go dolatywały, ze swoim dawniejszym egoizmem malał i drobniał niesłuchanie.

Nie uleciały one jak wszelkie kazanie, o pierś się tylko zimną obiwszy: bo Jerzy był w usposobieniu do zastanowienia się nad sobą i światem, bo piękne usta Ireny głosiły tę nową dla niego naukę, a wcielone spełnienie jej widział w postaci Graby przed sobą.

Są ludzie, których potęga moralna ocenić i sformułować niedająca, wywiera wpływ niepojęty na bliźnich. Takim był właśnie ów *dziwnak*, który jednych strachem i niepokojem, drugich miłością i uwielbieniem ku sobie ledwie nie za pierwszym ukazaniem się przejmował. Nikt nie umiał z doznanego wytłumaczyć się uczucia, sam mu się dziwił, a przecież zawiadywało nim zwycięsko. Zły człowiek wobec jego drżał, mieszał się i czuł ten niepokój, który zmusza do ucieczki i nie daje wytrzymać spojrzenia; w kim była iskra dobrego, w kim był szlachetny zaród, rozgrzewał się patrząc na tego człowieka, czuł się, słuchając go, podniesionym na duchu, silniejszym, śmielszym i błogo spokojnym.

Takie właśnie wrażenie uczynił Graba na Jerzym. Wcześniej własne rozmysły wskazały mu fałszywą drogę, jaką poprowadził swą przeszłość; w tej chwili kilka słów objawiały mu nową i prawą.

Wielkie i pełne znaczenia wyrazy: udoskonalenia, pracy, ofiary, miłości bliźniego, odwagi, jak świetne słupy zabłysły na tym nowym gościńcu. Młode, nie zepsute a przygłuszone tylko serce zabilo, poruszyło się w piersi i w duszy powiedział sobie: dzięki ci!

Z życia samolubnego, nasycenia, ironji, z życia, co świat i żywot człowieka ma za błyszczącą fraszkę, przeskok do surowej drogi obowiązków i pracy, nie łatwy dla wielu, dla wielu jest niepodobny. Lecz szczęśliwy wybrany, co ma siłę zwrócić się ku prawdzie, zwykle czyni to, jak Jerzy, nagle, pchnięty niewidomą ręką jakiegoś opiekuńczego anioła, co nad nim czuwał jeszcze.

Jerzy spuścił głowę na rękę, zamyslił się, i gdy oprzytomniając nierychło podniósł oczy, już rozmowa toczyła się nową i niespodzianą koleją, zmieniwszy całkiem kierunek. Mówiono o powiecie, o obywatelstwie, o bliskich wyborach w stołecznem mieście prowincji.

Pan Graba, na zapytanie Ireny odpowiadając właśnie zabrał głos poważny:

— Pojadę — mówił. — Nie rozumiem dla czego w tak ważnej dla ogółu chwili miałbym się odszczepiać? Są tacy, co swe niedołęstwo i zobojętnienie pokrywając dziurawym płaszczem jakiegoś wyższego uczucia, unikają zjazdów podobnych, mówiąc, że one do niczego nie prowadzą, i że są całkiem nieużyteczne. Tak nie jest. Wszędzie i zawsze człowiek, który chce, użytecznym być może.

— Zapewne — odparła Irena — lecz szranki dziś tak są ciasne!

— Dla tych, którzy ich granic nie znają. O! nie chciałbym moich współziomków potępiać, lecz niestety! większa ich część z gnuśności swojej zda rachunek przed Bogiem i przyszłością. Mówimy aż nadto, czynimy mało lub nawet nic nie robimy wcale. Jeśli kiedy, to teraz narzekanie z założonemi rękoma na nic się nie przyda.

— Cóż przecie nad nie naturalniejszego? — szepnęła z cicha Irena.

— Tak, na chwilę. Ale męską rzeczą jest otrzeć łzę, jako hańbiącą, i tą samą dłonią, która ją otarła, chwycić się pracy.

— Gdy serce boli?

— Praca boleści umniejsza.

— Gdy się braknie?

— Praca je daje i pomnaża.

— Gdy nie widzimy jej celu?

— A więc raz jeszcze przetrzeć oczy, bo łzy tylko dojrzeć go nam nie dają. Cel... to my wszyscy; nie każdy z nas pojedynczo, ale ogół cały. Wszelki wypadek okrywa pyłem i kałem, nawet niewinny i wypadkowy; ale nie ma żadnego, któryby widziany z wysoka, mógł się nazwać niezasłużonym. W każdej boleści jest nasieniem winy własnej. A więc w upadku pierwszym staraniem naszym być powinno podźwignąć się duchem, oczyścić z kału i otworzyć sobie do udoskonalenia i do moralnego podniesienia się drogę.

— Tak! tak! — pochwycił z zapalem Jerzy — i pojedynczy człowiek i naród chcą-li żyć, nie powinni płakać na pobojuwisku, ale pogrześć co umarło, a ratować co żyje!

— Wyrwaleś mi pan z ust te słowa — dodał z zadziwieniem Graba. — Szlachetne uczucia nie rychło gasną w człowieku, potrzeba je tylko rozżarzyć i pracować nad niemi.

— Praca! praca! praca! nieustanna zwrotka wszystkich waszych piosenek — zawołała Irena. — Doprawdy, nadto już nią straszycie.

— Radziłabym — przerwała także pani Lacka z uśmie-

chem sardonicznym — przeczytać co o niej wylał z duszy Byron w swoim Kaimie.

— Nieustannie jak widmo stawiacie ją przed nami — mówiła Irena. — Skończy się na tem, że ona przeleknie nas i odstręczy.

— My nią straszymy? to wy raczej przestraszacie się sami. Nie pojęto dotąd dobrze znaczenia pracy i dla tego zdaje się ona może nie jednemu straszną. Rzecz nie jest nią wcale. Cóżto praca, jeśli nie tworzenie? A jest-li jaka rozkosz nad rozkosz tworzenia czegokolwiek bądź i wyprowadzania z siebie tego, co przedtem nie istniało? Czy zdobywamy pracą uczucie, czy myśl, czy ziarno zboża: zawsze tworzymy. Wszelkie tworzenie ma w sobie boleść i rozkosz: ma w sobie oboje praca. Lecz boleść jest znikoma i cielesna, a rozkosz trwała i nieprzemijająca.

— Prawdziwie uwielbiać potrzeba — odezwała się pani Lacka — z jaką łatwością nasz sąsiad tworzy teorie i wyklada je. Na nieszczęście nie ma tu komu z równą łatwością ich burzyć, choć zdaje mi się, że bardzoby to można.

— Czekam i słucham! — rzekł Graba.

— Cóż ja słaba kobieta znaczę przeciwko takiemu zapaśnikowi? — zawsze z gorzką jakąś ironją mówiła dalej pani Lacka. — Wszakże ośmielę się zapytać: czy wszelka praca da się podciągnąć pod to, co o niej w ogólności wyrzekł preopinujący? Mnie się zdaje, że dwie są prace i dwie wielkie kategorie zupełnie odzielne: pracy z myślą i mechanicznej; pierwsza wypłaca się, druga tylko męczy. Jakkolwiek pracą jest przebieranie białego od szarego maku, wątpię, żeby pan Graba z rozkoszą się jej podjął.

— Bez wątpienia! — śmiejąc się rzekł zapytany — lecz dwie są też wielkie kategorie ludzi: myślących i niemyślących prawie, lub myślących tak niewiele, że przebieganie maku dostatecznym do ich rozmyśłów będzie wątkiem. Każdy człowiek ma dla siebie stosowną pracę, i taką tylko zajęty, użytecznym być może. Daruje mi pani, gdy powiem, że nawet przebieganie maku może być moralnie lepszem od próżnowania, i pod tym względem użyteczniejszem. Niejedna kobieta, gdyby ją małem dziecięciem do cierpliwości i pracy przyniesiono rozplątywaniem jedwabiu i przebieganiem maku, jak to u starych ojców naszych bywało, nie byłaby w przyszłości tak nieszczęśliwą i nie czułaby takiego ciężaru na sobie, boby jej sił na dźwiganie go stało.

Ostatnich kilka słów, może zastosowanych do pani Lackiej, przyjęła ona z rumieńcem gniewu, i zacisnąwszy usta, schyliła głowę na robotę, nie odpowiadając.

Gdy tych wyrazów domawiał i powolnie i dobitnie pan Graba, syn jego, który dotąd rozmawiał z dość niechętnie dotrzymującą mu panią Lacką, wstał i wyrzwał od niechcenia przez okno; zastanowił się w niem chwilę i zbliżył ku ojcu ze źle pokrywaną niespokojnością; lecz widząc, że na niego nie uważa, powrócił do okna raz jeszcze, począł coraz pilniej wpatrywać, zakręcił się udając obojętnego, przeszedł po pokoju i nie mówiąc, wymknął.

Oczy dwóch kobiet, a szczególnie Ireny śledziły go machinalnie, i widać, że jakiś tajemniczy powód wyjścia odkryły, bo spojrzały po sobie. Graba, choć nic nie dostrzegł, zwrócił się magnetycznym jakimś ruchem do okna, spojrzał w nie, wstrząsnął się, zerwał i podbiegł bliżej.

Za nim wszyscy się z miejsc swoich ruszyli, nie wiedząc o co chodzi, ale wnosząc z poruszenia, że żywe ruszenie się do okna nie było bez powodu.

— Co to jest? — spytała Irena gwałtowniej, spiesząc z za stołu do okna także.

Graba poglądał w milczeniu, błądy i w myśli zdawał się coś rachować.

Słup gęstego dymu, krwawe od spodu przybierający barwy, wznosił się na północnej widnokręgu stronie po nad lasy, otaczające zewsząd okolice.

— Gore! pożar! — ozwały się kobiety.

— Pożar! — powtórzył Graba — i zdaje mi się że u mnie. Ale gdyby i nie tak było, zarówno obowiązkiem jest każdego, co ma zdrowe rece spieszyć na pomoc nie-szczęśliwym.

Uchwycił za czapkę i rzucił się ku drzwiom.

Jerzy go zatrzymał.

— Pozwól pan — rzekł — i miue towarzyszyć. Mam ręce zdrowe. choć dotąd do pracy nie przywykłe: nie pogardzaj niemi. Dadzą mi konia, pojedę z wami: sam nie trafiłbym może, nie znając okolicy.

— Chodźmy! spieszymy!

We drzwiach wejrzenie Ireny pożegnało Jerzego i wlało w niego podwójny zapal i odwagę.

Na progu już, żegnając ich, zawahała się śmiała kobieta.

— A ja miałabym pozostać? — zapytała. — Czyż my tak dalece na nie się przydać nie możemy biedne kobieciska?

Twarz jej zapłonęła silnym rumieńcem; porwała dzwonek.

— I ja z wami! Konia! — krzyknęła do wchodzącego

służącego — dla pana Sumina i dla mnie! Mogę jeździć dla zabawki, potrafię pojechać do pożaru. Jeśli nie wyratuje nikogo, pocieszyć pomogę.

Pani Lacka podbiegła zmieszana i prawie gniewna, napróżno starając się po cichu odwieść od dziwnej myśli jechania do pożaru. Irena była nieugięta!

— Powróce zaraz — mówiła szybko — nic mi się nie stanie; z domu widać, że to nie daleko. Przydam się tam może: będę kierować ratunkiem, jeśli sama nic począć nie podolam. O! nie, nie! kobieta nie jest tak bezsilna, jak się wam zdaje. Nieprawdaż panie — obróciła się do Graby — czyż nie mogłabym pojechać? czyż nie potrafię zdać się wam na co?

Graba stał wzruszony ale milczący.

— Zostań pani lepiej — rzekł — wieczór blisko, droga niedobra. Zostań, proszę, może się zciemni.

— Wszak łuna pożaru świeci! Pozwólcie mi, pojedę, muszę. Konia! konia!

I narzucając na siebie szybko kapelusz, burnus welniany, chustkę, poskoczyła na ganek, nie słuchając pani Lackiej, tupiąc nóżkami niecierpliwie, pogładając to ku stajni, to na pożar, coraz się rozszerzający.

Nareszcie rozległ się tętent koni, które klusem prowadzono ze stajni: Graba stary i młody mieli swoje, na których przyjechali; dla Jerzego był wierzchowiec, dla Ireny jej ulubieniec bialo-nóżka; a wszyscy dworscy ludzie, wedle wprowadzonego obyczaju, dosiedli każdy jakiego kto pochwycił konia i gotowi byli towarzyszyć pani.

Ze wsi też widać było w polu mnóstwo konnych, na wyścigi biegnących w stronę pożaru; gdyż Irena tyle na wieśniakach prośbą i łagodnem upominaniem

wymogła, że już nie potrzebowali przynaglenia i rozkazu, aby biedz w pomoc bliźniemu. Każdy rzucił robotę, dosiadał mierzyna i gnał na łunę.

W orszaku dworskich, Grabowie, Irena, Jerzy, puścili się cwałem ulicą. Dziwny to był widok tej kobiety, na przedzie prawie, bo wierzchowiec jej był najslawniejszym w okolicy biegunem, przewodniczącej kilkudziesięciu ludziom, wśród których piękna twarz błada, ale odwagi i spokoju pełna starszego Graby, smutniejsza syna, ponura i namiętna Jerzego, odbijały na pierwszym planie. Wszyscy milczeli, konie gnały zasapane. Po drodze coraz się zwiększał orszak łączącymi się ludźmi, spieszącymi od wsi do pożaru.

Oczy wszystkich w ogromną łunę wlepione były. Ogień, rozdęty jesiennym wiatrem, który, jak zwykle nad wieczorem, nie wiedzieć z kąd się zerwał, szerzył się widocznie. Słup czarnego dymu, wśród którego wyskakujące iskry świeciły gwiazdkami, leniwo posuwał się w górę, rozsiadając szeroko na prawo i lewo; niekiedy przypadł nieco, lecz jakby tylko dla tego, żeby po chwili buchnął potężniej jeszcze, i roztoczył się po widnokręgu.

Wioska pana Graby leżała za lasem, a droga do przebycia, kręta i wyboista, dla spieszących a niepewnych nóg koni, których dosiedli, byłaby prawie niebezpieczna: wielu też zmuszonych było zwolnić biegu. Grabowie tylko, Jerzy i Irena spieszyli po manowcach pędem, dowodzącym odwagi i zapału, z jakim lecieli na ratunek. Niekiedy wśród mroku mignęła tylko kałuża, rozprysło się błoto z pod stóp koni, zachrzęszczała gałąź, zaszeleściły liście, i który z wierzchowców parsknął ustraszony.

Gdy się las rozrzedzać począł, a mrok padał coraz gęstszy przez popłątane drzew galezie, krwawo przeświecającą się ujrzeni łunę pożaru. Wioska za łąką i groblą leżała jeszcze o male pół mili, a już ogień oświecł kraj cały i drogę, którą przebywać mieli spieszący na ratunek. Wyjechawszy z lasu, postrzegł stary Graba, że to, czego się dotąd domyślał, było na nieść szczęście prawdą: wioska jego paliła się, a wicher gnał płomienie ze stodół na stodoly, i rząd gumien włościańskich, napelnionych zbiorem jesiennym, cały prawie wystawiony był na pastwę ognia.

— O! wołałbym sto razy, żeby moje stodoly i toki splonęły! — zawołał z uczuciem Graba. — Biedni ludzie! biedni ludzie!

I wyprzedzając drugich, zaciął silnie konia, który sil ostatnich dobywszy, poskoczył naprzód, wyminął dotąd na przedzie jadącą Irenę i posunął się, parskając, znajomą sobie groblą.

Straszny lecz majestatycznej piękności był widok pożaru. Czarne już niebo rozświecało się kłębami krwawego dymu; lasy pobliskie, wieżyczka cerkwi, biały front kaplicy, jaśniały oblane jaskrawym blaskiem. Gunna, jak stosy pogrzebowe, palaly to żółtym, to czerwonym, to sinym płomieniem i dymem; czerwone jego kłęby, jak wielka zasłona, wahały się nad wioską, rozdierane wiatrami, posuwane na różne strony. Trzask upadających bndowli, po którym płomień z nową gwałtownością wybuchł, krzyk ludzi, żalobny dźwięk odzywających się dzwonów i głuchy szum wichru jesiennego, towarzyszyły chórem tej klęsce. Im bardziej zbliżali się jadący, tem jaskrawiej oblewało ich złowrogie światło, tem wyraźniej dochodziły uszu krzyki, na które serce

poruszało się w piersi. Te z daleka dochodzące jeki, których przyczynę każdy zgadywał, a może od rzeczywistej wystawiał ją sobie straszniejszą, przejmowały niepojętem uczuciem trwogi i bólesci. Irena była blada, oko jej pałało; ze wzrokiem wlepionym w gorejącą wioskę, pędziła konia machinalnie. Jerzy, pomimo uczuć, które nim miotały, nie mógł nie spojrzeć na nią i nie powiedzieć w sobie, że zapał zpotęgownuje piękność i podnosi ją do najwyższego kresu. W tej chwili Irena była nadziemską idealną postacią, jaką chyba mistrz czarodziejskim pędzlem stworzyć mógł na płótnie w szczęśliwym natchnieniu.

Już byli pod wsią: ciepły wyziew ognia obejmował ich dokoła, dym duszący zalewał piersi, wszystkie głosy wielkiej sceny zjednoczyły się i zlały w jeden wtór żalobny, którego dźwięków czyjeż nie słyszało ucho, czyje nie zapamiętało serce? Dla pospiechu, ojciec i syn ostatkiem sił koni swych goniąc, przesadzili niskie płoty, i puścili się w poprzek ogrodowych zagonów. Jerzy i Irena poszli za ich przykładem.

Wiatr pędził im w oczy dym i iskry, a konie rzucały się, przerażone ognistemi pociskami, które leciały jak zapalone żagwie, roznosząc daleko zniszczenie. Ziemia posypana była dogorywającemi snopkami i skwarzącym się węglem. Doścignęli już stodołę, a że z tej strony pożar jeszcze ich był nie objął, właśnie tu żwawy ratunek stawał się najpotrzebniejszym. Koń pana Graby, puszczony wolno, bo jeździec stanął u celu, pędził parskając znajomą sobie drożyną ku dworowi i stajniom.

— Pan! pan! — ozwały się głosy prawie radośne.

— Dzieci! na dachy! — zakrzyczał Graba, podnosząc rękę — rozrznieć stodołę Wasyla, przerwiemy ogień!

I w mgnieniu oka lud miejscowy i przybyły drapał się już na budowlę, ale w tejże chwili dał się słyszeć jek bolesny :

— Chaty się palą! chaty goreją!

Grabu wyrwał się, przelatując ciasnym zaułkiem między dwiema pałacami sie stodołami, i przesunął szybko w ulicę ku domostwom. W istocie rzed chat, stojących, wedle zwyczaju, naprzeciw stodoł, w szerokiej budowany ulicy, chociaż nie tak niewolniczym sznurem jak gdzieindziej, poczynął plątać już także.

Tu zgromadziła się największa kupa ludzi, bo każdy albo ratował co mógł, albo płakał z załamanemi rękami nad tem co już stracił, albo truchłał, obawiając się o zagrożone.

Jedna chata, cała objęta płomieniem, paliła się nad inne silniej i prędzej. Ludzie w podwórku zrzucali uratowane sprzęty; w tem przeraźliwy, wszelki głos tłumiący krzyk kobiety dał się słyszeć, która ku domostwu, nad głową wzniesione i załamane ręce trzymając, leciała.

— Dziecię moje! moje dziecko! gdzie dziecko?

Mąż ze spuszczoną głową stał milczący, ona wiała się rozpaczającą. Płomień przez się rozpaloną już sięgał do wnętrza, pełnego dymu.

Posłyszeć krzyk ten, obejrzeć się, spytać i w mgnieniu oka poskoczyć do drzwi chaty, nie kosztowało chwili namysłu staremu Grabie. Syn, który za nim spieszył, ujrawszy to, osłupiał na moment, zastanowił się i zdrętwiał w miejscu; ale gdy ojca powracającego nie widział, pędem rzucił się we drzwi domostwa, które coraz rozpalalo się bardziej, i zniknął w kłębach dymu.

Ludzie, kochający pana jak ojca, z krzykiem przerażenia otaczać poczęli chatę, rzucając ratunek budowli.

W tem syn i ojciec z dziecięciem na ręku ukazali się we drzwiach, i wyskoczyli z nich osmaleni, okopceni, ale zdrowi. Ogromny odgłos radości, jakby z jednych ust, razem się wyrwał.

A matka?... matka padła przed zbawcą dziecica na kolana, zalała dlonie, i chwytając jednaka a tuląc go do piersi, omdlała.

Graba już był daleko i biegł na drugie podwórko, ustawiając ludzi rzędem od studni do ogniska, sam podając wiadra, zachęcając, prosząc, rozkazując.

Jak wszędzie na Polesiu, potrzeba było całej powagi ulubionego państwa, aby do ratowania zmusić. Skutkiem zapewne dawnej, pogańskiej jeszcze czci ognia w tych stronach, lud niechętnie zalewa pożar, a z niedotkniętych jeszcze płomieniem chat wystawują stoly zasłane obrusami, witając ogień-boga chlebem i solą jak gościa *).

Przykład Graby ożywił ludzi i odwagi im dodał przeciwko przesądowi, który zastrasza, że ogień mścić się będzie na tych, co go zalewają. Młodzi i starzy z zapalem rzucili się rozrywać zagrożone domostwa, aby przeciąć drogę dalszym klęski postępom. Ojciec i syn z Jerzym, któremu niebezpieczeństwo, na jakie się narażał w oczach Ireny, było rozkoszą, przodkowali wszędzie. Irena tymczasem tuliła dzieci, pocieszała płaczące kobiety, i w milczeniu duszą się modliła. Każda klęska, której gwałtowność i potęgą przechodzi siły człowiecze, wznosi myśl ku Bogu.

*) Sam w roku 1837 byłem świadkiem tego bałwochwalczego obrzędu na Polesiu wołyńskim, pod Kołkami we wsi Omelnem. Oprócz tego starą jakąś babę posłano w pół-nagą trzy razy pożar obchodzić, dla wstrzymania dalszego postępu.

Pożar, któremu teraz silna wola i rozum a przytomność kilku przewodników ratunku, postawiła silne zapory na drodze, osiadać poczynił widocznie. Na dachach obmokłych od zlewania wodą, siedzieli parobcy i dworscy ludzie z Rumianej; łańcuchem zaś podających wiadra w dwóch kierunkach rozrządzał sam, pracując zarówno z innymi Jerzy i młody Graba. Zmniejszał się blask krwawy, dym przerzedzać poczynił, i te tylko budowle, które wprzód rozgorzały, dojadł jeszcze płomień. Rozstawiwszy straż u ognia, rozporządziwszy wszystkim, Graba, przeprowadzony przez błogosławiających mu ludzi, okryty żużlami, popiołem, sadzą, osmalony, czarny od dymu, ale nie znużony, widząc, że nie ma niebezpieczeństwa, pospieszył do swoich gości, których dla spoczynku i pokrzepienia się zapraszał do dworu. Irena zwłaszcza potrzebowała tego, siły ją bowiem opuścili: wzruszenie, konna jazda, krzątaanie się wśród pożaru, przestrach, przypominały jej, że była kobietą.

Konia znalazły się jak na zawołanie, i siadłszy wszyscy, powoli, oglądając się i rozmawiając, pojechali do dworu.

W oddaleniu widać było w cieniu starych drzew na wzgórku, bielejące ściany niskiego domku. Droga szeroka, okopana głęboko, wiodła ku niemu. Gdzienigdzie pod staremi dębami i lipami, które ją ocieniały, były ławki proste ale szerokie i widocznie nie dla jednej lub dwóch osób, ale dla kilku lub kilkunastu stawione. Łatwo się było domyśleć, że nie dla panów, ale dla wieśniaków, powracających od roboty, służyły. Tu i owdzie kształtny krzyż ciemne swe ramiona krył w gęstych drzewa konarach.

Za wzgórzem błyszczał teraz krwawemi odbłyskami staw szeroki i czysty.

Nigdzie tej wytworności wyszukanej, zagranicnością technącej, którą u nas tak często obok ruin i spustoszenia nawet znaleźć można, nie postrzegli przybywający; lecz natomiast porządek i pełne prostoty a wdzięku, z uczuciem i smakiem porobione budowy i urządzenia. Jerzy, wiedząc już o stanie majątkowym pana Graby, dziwił się, że tak skromny domek tak niewykwintne zabudowania otaczały, że nigdzie przepychu w ozdobie miejsca nie znalazł.

— Pan zapewne unieszkasz zwykle w innym majątku? — spytał w rozmowie.

— Nie — odpowiedział z uśmiechem gospodarz. — Rozumiem co na usta pańskie wywołuje to pytanie: dziwisz się zapewne, że mieszkam tak skromnie, wiedząc że jestem bogaty. Lecz bogactwo nie powinno nam służyć na zepsucie; a właśnie zbytek idący za nim tak często uniedoleźnia, czyni nas niewolnikami ciała i psuje, bo hart wszelki duszy odbiera. Chronię się zbytku i miłości, nie tyle dla siebie, ile dla syna. Na co przywykać do tego, co nie jest koniecznością dla nas, a koniecznością przez nałóg staje się i rodzi cierpienia, nie wiele dając przyjemności.

Gdy tych wyrazów domawiali, stanęli przededrzwiami domu. Dwór był nie wielki, niski, biały, czysty i wszystko co stanowiło jego ozdobę, proste i nie kosztowne: przecież człowiek milionowego majątku w nim zamieszkiwał. Światło w cknach dowodziło, że oczekiwano gospodarza, a może i gości. Kilku ludzi i kilkoro młodych chłopiąt, jednakowo ubranych, wybiegli na ganek, otoczony ławkami i bez uniżoności zbytecznej, a z ser-

decznem nadszkakiwaniem przyjęli pana i gości. W ich obejściu więcej znać było uczucie i przywiązanie, niż wyuczoną pokorę i splaszczanie nieszczere.

Jerzy co krok się dziwil. Pokoje, do których weszli białe, dosyć obszerne, choć dom pozornie był mały, nie miały ani posadzek, ani sufitów, ani tych fraszek zbytkowych, co zdobią je zwyczajnie: słowem, nie użytkownego. Sofy, stoły dokola, krzesła proste, stoliki jesionowe, zwierciadła w czarnych ramach: oto cały sprzęt ich prawie.

Irena tak się czuła znużoną, że Graba uatychmiast przywoławszy ubogą swą krewną, panią Kwasowską, która u niego mieszkała, polecił jej staraniom, póki by konie, mające ją odwieść do Rumianej, nie nadeszły.

Sam, nie potrzebując spoczynku, bo przywykły był do pracy, obmywszy się i przebrawszy. opatrzywszy kilka opaleń, powrócił do Jerzego.

— Widzę z oczu pańskich ciekawość — rzekł — i chciałbym ją zaspokoić, ukazując mu siebie i wszystko co mnie otacza, z uprzejmością gospodarza i trochę chluby. Wiele rzeczy potrzebuje tłumaczenia, ale nie dziś czas po tem. Zanoćjesz pan u mnie, a jutro, spodziewam się, zabawić u mnie zechcesz.

Ściśnienie ręki było jedyną odpowiedzią Jerzego, który jednakże spocząć nie chciał, póki by o Irenę nie był spokojny. Ta wkrótce, nieco pokrzepiwszy się i nabrawszy sił nowych, siadła do powozu, i żegnając Jerzego, z uśmiechem przypomniała mu, że jeśli nie jutro, to pozajutrze u siebie go oczekiwać będzie, a tymczasem poszle oznajmić panną koniuszemu o przyczynie przedłużonego pobytu.

Po wyjeździe Ireny, młody Graba odprowadził Je-

rzego na drugą stronę domu, gdzie było kilka gościnnych pokoiów. Z podziwieniem znalazł je gość opatrzonemi aż do zbytku i przepychu we wszystko, do czego u nas ludzie pospolicie zwani „dobrego wychowania“ są przywykli.

Spojrzeniem spytał wchodząc, co by to znaczyć miało, a młody Graba odpowiedział mu z uśmiechem:

— Ja i mój ojciec zwykliśmy do jak najprostszego życia, ale gościnność staropolska nie pozwala pozbawiać wygód zwykłych tych, którzy bez nich z trudnością się obchodzą.

— Jaby m się łatwo mógł obejść bez nich — rzekł rumieniąc się Jerzy.

— I mybyśmy też umieścili byli pana — odparł spiesźnie Jan — w jednym z pokoiów zwyczajnych, gdyby te nie były teraz zajęte. Ojciec mój ma sobie za prawidło z młodymi, jak ja i pan, postępować z powagą nieco przyjacielską, lecz razem z anielską słodyczą. Nigdyby nie zachęcał do zbytku tych, którzy jeszcze od niego odwyknąć mogą z korzyścią; ale dla starców, dla tych, którym on się stał koniecznością... Dobranoc! dobranoc!... do jutra!

Jan wyszedł, a Jerzy rzucił się na łóżko i snem niespokojnym, w którym się odbijał pożar, Irena, konna przejażdżka i tysiące strasznych i pięknych obrazów, usnął głęboko do rana. Ale za pierwszym przebudzeniem, ciekawość, podbudzona wszystkiem co wczoraj widział, już mu dłużej zasnąć i oka zmrużyć nie dała. Ubrał się naprędce i wyszedł po cichu drzwiami, do ogrodu prowadzącemi.

Teraz po dniu mógł obejrzeć lepiej, co mu się wczoraj tylko w odbłaskach luny pożarnej mignęło. Powietrze

pełne było jeszcze tych wyziewów zgorzeliska, które długo ulatują nad spopielałemi budowy; ale ranek cudny, ciepły, podobny wiosennemu, odziany w białe mgły powiewne, które się już zaczynały rozplywać, ozlacał świat jesienny.

Przed nim rozścielał się ogród, wzgórzem ku stawowi i rzeczulce ciągnący, obszerny, czysto utrzymany, kwiecisty i pełen pięknych widoków. Umiejętnie potworzone drzew masy: jodły i sosny na pierwszych planach, topole, które już srebrzysty liść straciły, w dali, kręte drożyny wśród murawy teraz pożółklej, poprzecinane widoki, czyniły go na Polesiu dziwnem zjawiskiem.

— Jest to przecie rzecz zbyt kowna — rzekł do siebie Jerzy. — Złapałem Spartańczyka na grzechu.

Z boku usłyszawszy głosy, posunął się ku miejscu, z którego pochodziły. Łatwo wśród nich rozpoznać było można poważną mowę Graby, który, uprzedzając słońce, wstał się naradzać ze swoją gromadą.

Kilka słów dosłyszanych przekonały ciekawego, że tu całkiem inaczej obchodzono się z ludźmi, niż pospolicie u nas. Stosunek pana i wieśniaka, stojących na dwóch krańcach łańcucha towarzyskiego, który ich wiąże wzajemnie, tutaj zmieniał się w patryjarchalny związek rodziny, pokrzepiony wdzięcznością obustronną. Nie było więc wyrzutu z jednej, ani hardych odpowiedzi z drugiej strony.

Naradzano się spokojnie, a gdy pan podnosił głos, milczenie poszanowania lub potwierdzające wykrzykniki donosiły, jak się dobrze pojmowano. Głos też starego Graby był prawdziwie ojcowski i braterski razem: ojcowski powagą, braterski uczuciem.

Gdy nadchodził, Graba kończył rzecz swoją do włościan temi wyrazy, pełnemi serca:

— Teraz, dzieci moje, nie płakać i narzekać, ale podwójnie pracować nam potrzeba. Z mojej strony uczynię dla was wszystko co tylko mogę, ale wy także rąk nie opuszczajcie. Bóg dopuszcza klęski na ludzi, aby ich spróbował, czy Jego łaski są warci. Lasu dam, pomoc dam, o chleb bądźcie spokojni, bo go wam nie zabraknie; a koło chat zawińmy się po naszymu, bo zima blisko!

Prawie rozweseleni odeszli pogorzelnicy, gdy Jerzy nadszedł i gospodarza pozdrowił z uszanowaniem.

— Tak rano już pan wstał? — spytał podnosząc się z ławki na ganku pan Graba. — Czy nie przeszkodziło mu co do snu?

— Trochę, niespokojność widzenia i słuchania pana. Tać nie będę, że przywykłem do gnuśnego snu długo na dzień, ale dziś tego złego nałogu się wstydzę.

Graba spojrzal w oczy.

— Winszuję panu — rzekl. — W istocie, to co zowią fałszywie cywilizacją, zwykło objawiać się wszelkiego rodzaju wykwinem i zbytkiem, przekręceniem żywota na nic: i są ludzie co dowodzą, że to jest konieczna wynikłość cywilizacji: nie naśladujmy przecie w tym względzie Zachodu. W stolicach, po każdym balu, wołają demokratyczne dzienniki: ilebyto ubogich rodzin kosztem tym nakarmić można! Na każde takie wołanie dowcipni gazeciarze przeciwnego stronnictwa odpowiadają: policzcie, iluto karmią wyrobników bał i zbytki pańskie! Tak jest, ale źle jest. Jeśli w ciele ludzkim żyje część jedna kosztem drugiej, zwiemy to chorobą; tak samo i w ciele społecznem. Zbytek karmi, to

prawda, ale najmniej potrzebnych, pasożytów zbytku dzieci; inne klasy tymczasem cierpią. Pomińmy i to nareszcie, odłóżmy na bok; zbytek najszkodliwszy jest nie tym, którym pokarm odbiera, i którychby kosztem swym mógł nakarmić, lecz tym właśnie, którzy w nim żyją.

Przyszliśmy do tej rozprawy od snu. Posadziś mnie pan o nielogiczność: przecież pamiętam zkad wyszedłem, ale wiem lepiej jeszcze do czego dojść zamierzam. Sen nie w porę, gnuśny, długi, jest także częścią obyczajów zbytkowych. Jest to oddalenie się od natury, skutkiem zepsutych obyczajów będące; bo i zdrowiu szkodzi, i umysłu nie podnosi, i czas zabija, i żadnej nie przedstawia korzyści. Ale myśmy słabe dzieci zbytku.

— Widzę, że zbytek nadewszystko zdaje się panu zgubnym dla społeczeństwa.

— A nadewszystko dla naszego. My mamy wielkie i święte ciężące na nas obowiązki: winniśmy podnieść się z moralnego upadku, pokrzepić na umyśle i ciele. Zbytek zresztą, gdy już ma być koniecznie gdzieś, niech będzie szaleństwem szczęśliwych. Nieprzyjaciół wszelkiego zbytku, nie ukazę też panu u siebie żadnego niepożytecznego — rzekł Graba podnosząc się. — Uważałem wczoraj jeszcze, że to, co we mnie i u mnie dojrzałeś pan wychodzącego za szranki dozwolonej oryginalności, wzbudziło w nim ciekawość. Jest to, według mnie, uczucie szlachetne, i źle tylko użyte, złem być może, to jest stopniem do piekła, jak to jezuici powiadali; często przeciwnie, bywa wschodem do poprawy. Ciekawość jest głodem duszy. Moim obowiązkiem zaspokoić ją, aby to, co wedle mnie użytecznego pomyślałem i uczyniłem, mogło (jeśli warto i zasłuży) wlać się w masę

pojęć i przekonań powszechnych. A zatem — dodał wesoło — masz mnie pan na usługi swoje. Po domu moim najlepiej mnie poznasz. Chodźmy!

Weszli do domu, do którego gospodarz, nie czyniąc staroświeckich ceregelów we drzwiach, wprowadził Jerzego. Pierwszy pokój, widziany już wczoraj, ostawiony sofami, pokrytymi ciemną włosienicą, z meblami jasnowosowymi, kominem drewnianym i białymi ścianami, przeszli obaj milczący. Za nim był drugi, bardzo do pierwszego podobny, z którego duże okno wychodziło na ogród.

Jerzy, widząc stąd piękny kawałek parku, uśmiechnął się, i zatrzymując, spytał pana Graby:

— Czy nie schwycę pana na grzechu przeciw własnemu jego zasadom? Nienawidzisz pan zbytku: a ogród tenże, zajmujący tyle pola, kosztujący tyle pracy, tyle pieniędzy, nie jest-li rzeczą zbytkową?

— Wdzięczny panu jestem za to pytanie, bo mi pozwoli wytłumaczyć mu się z moich zasad dokładniej. Na oko tak jest, jakżeś pan osądził, ale w istocie rzecz się ma inaczej. Człowiek nie samym żyje chlebem, i potrzeby jego nie ograniczają się do tych zwierzęcych tylko funkcji, których zaspokojenie jest warunkiem wprowadzenia cielesnego życia, ale nie dotyka, chyba ubocznie, piękniejszej strony życia i żywota duszy: duszy potrzeba piękna. Piękno nie godzi się ograniczać ciasną definicją, jaką o niem dają estetycy poziołi. W jednem wyżej pojętem uczuciu piękna, jednoczą się wszystkie duszy porwy ku szlachetnemu, wielkiemu, ku dobru ogółu, ku ideałom!

O! ten wyraz jest największą plamą na twarzy ludzkości! Nazwano ideałem wszystko, czego się obawiano spełnić, czego leniono się dostąpić, czego nie

chciano z niebios sprowadzić na ziemię.

Duszy więc pokarm to piękno we wszelkim rodzaju. Dusza myśli, dusza pragnie towarzystwa wielkich ludzi, spełnienia czynów szlachetnych, rozważania Boga i siebie, nareszcie natury pięknej.

Karmię się księgą, rozmową, dziełem sztuki i temi obrazami natury, których dziś szukam w ogrodzie, a w przyszłości marzę ogrodem ziemię całą, bo ją szczęśliwsze od naszego wieku z sobą razem do ideału podniosą.

Dla mojej duszy obraz ten, na pozór zbyt kowny, jest karmią, jest potrzebą; w nim widzę przeszłość rodu ludzkiego i kolebkę straconą, o której gwarzą podania; w nim widzę jego przyszłość, do której powolnie i mozolnie postępuje. To raj mój, który myśl zaludnia. Oto tłumaczenie dla czego mam ogród. Że go mieć mogłem, wymawiam się tem, że mi zostawały odlogi; że ludzie wiejscy mają gruntów dosyć: a na utrzymanie ogrodu to tylko wydaję, co zbywa mi od obowiązków. Pot ludzki nigdy się dotąd na moje potrzeby fantazyjne nie wylał. Staram się, by w tym raju ła ludzi nie pociekła, nie stęknęło westchnienie.

Jerzy który słuchał z zajęciem trochę egzaltowanych wyrażen pana Graby, nie na nie odpowiedzieć nie mógł, czy nie chciał. W tem gospodarz drzwi otworzył i gość z podziwieniem największem ujrzał przed sobą dość długą galerję, zawieszoną obrazami z jednej strony, zastawioną szafami książek z drugiej.

— Oto jeszcze zbytki moje! — zawołał pan Graba. — Spowiadam się ze wszystkich razem grzechów tego rodzaju: to podwójny karm dla duszy. Nie mam cugów, nie mam paradnych koni, karet, liberji, pałaców, ani

kuchmistrza Francuza, ani tych tysiąca fraszek, któremi nas moda zarzuca: ale kąpie się w książkach, ale rozkoszuje tworami sztuki. Patrz pan — dodał — oto obrazy wyborne, które zarówno obcy i nasi mistrze wyleli na płótno, świadczące jak wiele może myśl ludzka w walce z ograniczonemi środkami wcielenia się. To jest prawdziwe zwycięstwo człowieka nad materją, to wiekiasta jego chluba, to dowód nieśmiertelnej w nim iskiej.

Tworzyć dla rozkoszy tworzenia, oblekać myśl w ciało, puszczając ją w świat niemowlęciem, by może na olbrzyma wyrosła... jeden tylko może człowiek. Lecz nie bądźmy temi dumni; każda karta, każdy rys twórczości ludzkiej dowodzący, dowodzi zarazem bezsilności i granic jego potęgi.

Jeży zbliżył się najprzód ku księgom, których nie zalecały ani szafy, ani bogata oprawa, ani nic powierzchownie tylko błyszczącego. On, co dotąd mało się zajmował literaturą, zwłaszcza krajową, z podziwieniem ujrzał ile tu ona pól zajmowała. Szacowne przeszłości pamiątki, zabytki nasze, skostniała przeszłość cała, co potomności da świadectwo naszego bytu dawnego, gromadziła się tu w bogatych na podziw zbiorach. Jedną tylko wielką szafę znalazł poświęconą twórcom umysłu ludzkiego wybranym, reszta była polską rzeczą, językiem lub duchem.

Naprzeciw wisiały obrazy, wybrane z równą troskliwością. Odbijały się i w nich niepowrotne karty dziejów, twarze wielkich ludzi zgasłych, tryskała myśl mistrzów, natchnienie religijne lub odwzorowana wiernie naszych okolic fizjonomja.

— Ten zbiór — rzekł Graba — najwięcej mnie kosztuje,

lecz do niego każdy bogaty człowiek, równie jak do biblioteki, jest obowiązany. Wolalem synowi zostawić te skarby, niż trochę więcej grosza, którego i tak zadość mieć będzie. Gdyby go nawet miał znacznie mniej, spokojny jestem, bo potrafi pracować.

Teki, które pan tu widzisz, dopelniają zbiorem sztychów szereg obrazów moich. Są tu piękne, czasem mistrzowskie utwory ludzi, o którychś pan ani slyszal może. To stary oltarzykowy obrazek Jana Wielki, to natchnione płótno Jana z Nissy, ta rzeźba, twarz Matki Bożej wyobrażająca, Wita Stossa, a dalej Lubienieckich, Kuntza, Leksyckiego, Czechowicza, Płońskiego i Smuglewicza dzieła.

Później będziesz pan mógł lepiej zbiorowi się temu przypatrzeć. To mój zbytek i grzech może; ale sumienie moje nie ma mi do wyrzucenia, żebym kiedy surowsze obowiązki życia poświęcił upodobaniu w tworach sztuki i fantazji amatorskiej: nie jestem dyletantem nade wszystko. Jakkolwiek sztukę widzę w życiu taką potrzebą, tak istotną koniecznością jak chleb i powietrze, a tych co jej nie pojmują i nie potrzebują mam za ułomnych, przecież wiem, że przedewszystkiem idą obowiązki względem bliźniego.

— O! zmiluj się pan! — rzekł Jerzy — jesteś aż nadto surowym.

— Potrzeba być surowym, zwłaszcza dla siebie, inaczej nie mógłbym być sprawiedliwym. Wszystko darować ludziom, nie sobie: to prawo moje. Idźmy dalej!

Weszli do maleńkiej zbrojowni, prześlicznie ułożonej. Tu gość, który lepiej obeznany był z bronią niż z księgami i obrazami, bogactwu jej, doborowi i ułożeniu oddziwić się nie mógł.

— To jeszcze dalszy ciąg moich zbytków — dodał pokornie gospodarz — muszę się i z tego panu wytłumaczyć.

— Czyż i to potrzebuje tłumaczenia?

— Słuchaj pan tylko; ja lubię tłumaczenie: to słabość moja. Myśl uwieczniona we mnie dokucza mi: wypowiedzieć ją, ulgę przynosi. Zbierałem broń starożytną; mam nową także z dwóch powodów. Byliśmy narodem wojennym, broń więc jest dla nas najcharakterystyczniejszą i zdaje się najwięcej mówiącą pamiątką. Na niej, w niej, w jej kształtach i ozdobach więcej jest może myśli i historii, niżeli się domyślają ci nawet, co o tem rozprawiają i piszą. Te bułaty, buzdygany, buławy, topory, czekany, luki, kusze, berdysze, samopały, karabele, tulichy (dolch), demeszki, tarcze i pociski, kopie i rohatyny, długo były jedynem narzędziem naszych przodków, i większa część ich życia spłynęła z niemi w rękach, na piersi, u boku. Są to więc drogie i krwią nieraz skropione pamiątki: każda plamka rdzawa może być łzą konającego na polu bitwy, lub ostatnią krwi kroplą bohatera.

Co się tyczy różnej broni nowej, tę zarówno i dla syna mieć chciałem. Zniewieścieliśmy zbyt: i wszystko co ciało hartuje, co krzepi, co odwagę wyrabia, co zreczność nadaje, potrzebne nam dziś bardzo. Cywilizacja w obcych krajach fałszywy wzięła kierunek: ona, wykwitając w zbytek, który jest bujnym liściem bez owocu, wycieńcza, kuje w kajdany, osłabia i z człowieka robi tylko piękne cacko, potrzebujące futeralika i bawelny. Ja całkiem inaczej postęp i cywilizację pojmuję; dlatego syna wychowałem przede wszystkim na hartownego mężczyznę. Otwarta głowa nie przeszkadza,

by ciało silne być miało: daremnym jest sofizmat, chcący dowodzić, że jedno otrzymuje się kosztem drugiego. Zdrowe sily duszy nietylko nie niszczą sił ciała, ale z niemi są w nierozzerwanem przymierzu.

Uczyłem siebie najprzód, teraz ucze syna: nie obawiać się niczego, co dla miękich synów wieku jest prawie zabójczem. Umiemy wytrzymać głód, pragnienie, chłód, niedostatek: jednem słowem cierpienie. Środkiem do wyrobienia sily w ciele uważałem lowy, narażające na zmiany powietrza, niewygody i trnd fizyczny. Oba także umiemy kopać, orać i bawim się pracą ogrodową.

— Jakto? kopać? orać? — spytał Jerzy.

— Tak jest — dodał spokojnie Graba — i lepiej umiającego poprowadzić soche nademnie we wsi nie znajdziesz.

— Pan probowałeś iść za sochą, za plugiem?

— Nie raz. Z mojej strony nie była to jakaś chęć odznaczenia się, ani dziwactwo, ani nawet igraszka i zabawka: miałem w tem także cel poważny.

— Jakiz? proszę pana. Czyż każdy wieśniak nie potrafi tyle co pan?

— Zapewne; ale właśnie wieśniaków nauczyłem prac wiejskich. Powszechnie zajęcie się wszelkimi robotami ręcznemi i rolą jest w pogardzie jakiejś; lud wiejski sam już nawykl być poniewieranym: potrzeba, żebyśmy swojemi osobami okazali mu, że powołanie rolnika, co w pocie czola chleb świata daje, nietylko nie jest od żadnego niższe, ale od wielu zaszczytniejsze.

Sto razy powtórzyłem to moim wieśniakom, że stan ich i pracę szanuję. Podnieść ich moralnie, obowiązkiem naszym; ale wskazywać im, że ich poświęcenie, ich praca są rzeczą pogardy godną, jest niegodziwością. Tak prze-

cie czyni każdy, co kmiotka usiłując podnieść w bycie i na umyśle, nie stawia obok tej myśli: że zajęcie się rolą nie jest na przeszkodzie uprawie umysłu, że ręka, co plug dźwiga, szlachetniejszą jest od wielu okrytych gnuśnemi rękawiczkami.

Jerzy nie mógł wyjść z podziwiewia.

— Ale że pan raz kiedyś pójdziesz z nimi za pługiem, czy sochą, cóż to pomoże? Oni to właśnie wezmą za fantazję, za rodzaj jakiejś igraszki.

— Wzieliby niechybnie, gdyby wszystkie inne czynności moje nie potwierdzały szacunku, jaki mam dla rolnika. Pospolicie u nas nagrodą jest: wzięcie do dworu, i dworak ma się za coś nierównie wyższego; u mnie przeciwnie. Ja sam szanuję siwe włosy moich starych gospodarzy i szanują je wszyscy; i żaden z moich włościan nie pragnie innego stanu nad swój, dążąc w nim tylko do polepszenia ile możliwości bytu duszy i ciała. Zaspokajając potrzeby ciała, nie zapominałem zwrócić ich uczucia najprzód na prawą drogę ku zamilowaniu dobrego, potem ich umysłu ku uowym potrzebom duszy. Gdy tę poczuli, jam o ich przyszłość spokojny.

Wielkie i skuteczne reformy prędko się dokonać nie mogą: „co nagle, to po djabie“, mówi przysłowie. W naturze, co ma trwać, rośnie i tworzy się długo; zniszczenie tylko jest szybkie. Dlatego ani mogę się spodziewać, żebym dokonał wszystkiego, co marzyłem i marzę dla wieśniaków; ale Bóg dobry! Ktoś to za mnie dokończy. My zaczynamy, a Opatrzność obmyśli spełnienie myśli pocziwej; siejemy, a ziarno nie padnie daremnie.

Kończąc te słowa, weszli do obszernej izby, która, ze słów wnosząc, była jadalną. Jakoż wnioskując tak,

nie omylił się Jerzy. Zaczęto przygotowywać śniadanie.

— Tu jadamy! — rzekł Graba.

— Pokój stołowy każe wnosić, że pan często miewasz gości?

— Mylisz się pan — odparł gospodarz — najliczniejsi goście moi, to są domownicy. Ja i syn zwykliśmy jadać po staropolsku, z całą naszą dwornią. Jest w tym obyczaju coś patryarchalnego, jak w całym stosunku pana do włościanina w dawnych czasach, które dziś szkalują i wcale źle pojmują. Dawniej pan i wieśniak byli jedną rodziną; a jak w rodzinach są źli ojcowie, tak byli i źli panowie włości: jednak to były tylko wyjątki. Nie mogąc się całkiem obejść bez sług, choć bez wielkiej ich nadpotrzebnej liczby się obchodzić; staram się sługę podnieść z jego npokarzającego stanowiska. Biorę i wychowuję w szkółce naszej sieroty, które mi usługują; ale niemniej cała ta służba obnosząca półmiski, siada ze mną do stołu i je toż samo co ja.

Jerzy wielkimi spojrzał oczyma, Graba się śmiechał.

— Kochany panie — rzekł — większa część naszej szlachty przypuszcza sługi do uczestnictwa swych wad i nałogów, robi ich współnikami słabości słomotnych: czemużbym ja nie miał przypuścić ich do stołu? Usługa u mnie odbywa się wcale ochotnie, serdecznie, i jest raczej młodszego dla starszych pełną uszanowania *przyługą*, niż ciężkim, niewolniczym obowiązkiem. Moi słudzy mówią ze mną swobodnie; myśl mi swoją, gdy ją mają, podrzucają śmiało: mogą się śmiechnąć i zasępić, gdy pragną: a ja im za grzech tego nie mam. Pamiętajmy, że każdy z nich zostając sługą, nie wyzuwa się z praw człowieka. Nie różmy z nich lalek drewnianych!

— Wszystkich więc chciałbyś pan z sobą zbratać i nie uznajesz uczucia poszanowania i potrzeby posłuszeństwa, i oddawanie czci, jako oznaki objawów koniecznego, naturalnego stanu duszy? Przecież społeczeństwo dzieli się koniecznie na wyższych i niższych, i uczuć tych z życia jego wyrzucić niepodobna!

— Tak jest; ale braterstwo chrześcijańskie ludzi nie wyłącza tych uczuć. Moi włościanie szanują mnie, ale kochają razem; chociaż ich szacunek wyraża się bardziej jak miłość ku starszemu bratu lub ojcu, niżeli bojaźnią niewolniczą.

W człowieku widzę najprzód człowieka, i jako człowieka, brata. Jeżeli mnie cnotą, umysłem, duszą przewyższa, o czem wewnętrzne nieskazone znać daje uczucie, uznaję go starszym i oddaję mu cześć jako bratu starszemu; jeżeli jest niższym odemnie, nie pogardzam nim, owszem powiększa to miłość moją i obowiązki, do których się czuję.

— A występní? a źli i w złem zatwardziali? — spytał Jerzy.

— Będiesz-że miał pan cierpliwość wysłuchać całej teorii? — zapytał z kolei stary Graba.

— Czemuż nie? właśnie tego najciekawszy jestem.

— A więc proszę o trochę cierpliwości, bo nie mogę jej zamknąć w dwóch wyrazach.

Stosunek człowieka do równych mu ludzi zamykam we trzech wyrazach, które, podług mnie, obejmuje jeden ostateczny: *miłość*. Ta miłość staje się względem wyższych uwielbieniem i czcią, względem równych braterstwem, względem niższych miłosierdziem bez granic.

Ale żebyś mnie pan lepiej zrozumiał, muszę mu się obszerniej wytłumaczyć.

Wszystko co wielkie nie podnosi człowieka i nie uszlachea mnie także, wskazując, że ja do takiej wielkości zdolny jestem? Dusza, jak ku słońcu kwiat, otwiera się ku wielkości i doskonałości. Cześć dla wyższych jest czciami ideału, do którego się oni zbliżają. Tylko ślepi lub głupcy nie widzieć mogą, zazdrościć i nienawiścią występna się palić. Wielcy ludzie są to obłąkamki ideału, który się rozbił o ziemię. Pojać wielkość, zbliżyć się do niej, uczcić ją, usiłując jej zrównać: oto do czego wiedzie cześć moja.

Z równymi mnie jestem bratem. W nieznanym mi człowieku szanuję najprzód człowieka, w poznanym szukam cnoty; i choć mi wady biją w oczy, wiem, że żaden człowiek z samych się wad nie składa, każdy ma jakąś ukrytą cnotę lub zdolność do niej.

Jakie są obowiązki braterstwa, uczy nas ewangelja, pełna w tej mierze wiecznie prawdziwych i prawdziwie boskich przepisów. Miłość powinna się objawić poświęceniem, zaparciem siebie, współczuciem, zbrataniem, które jest zjednoczeniem. Kto mówi, że kocha ludzkość, a gnuśnie spi w dniu wczorajszymi, nie troszcząc się o jutro, ten kłamie. *Kto kocha, ten pracuje.*

Dla upadłych i niższych od nas umysłowo duszą i sercem braci, zawsze obowiązkiem jest też sama miłość, która stanowi jedyny wyraz stosunku ludzi do ludzi. Jeśli człowiek upadł umyślnie, żałuję go, bo ślepy; jeśli wypadkiem, godniejszy politowania jeszcze; jeśli tym nierozpoznanym zbiegiem okoliczności, który zowie się losem, ratujemy go, bo najbiedniejszy, i kochamy więcej niż szczęśliwych: poświęćmy się, by go wychwycić z gubie.

Cóż pozostaje, pytasz mnie pan, względem tych, co

są zli, przewrotni i zatwardziali? Człowiek ma tu obowiązek dwojaki: brzydząc się złem i fałszem, powinien śmiało fałsz i występki wszędzie, gdziekolwiek go widzi, nazwać po imieniu. Złote obwódki nie uczynią go czem innym; żaden wzgląd, żadne położenie nie wymawia; serce milczeć powinno, bo tu chodzi o najświętszą rzecz na ziemi... o prawdę. *Kto jej nie czei, klania się złemu.*

Lecz wskazując fałsz i występki, względem człowieka fałszywego i złego zostają obowiązki. Do ostatka wierzyć powinniśmy, że można go poprawić; a brzydząc się występkiem, miłować go należy jak brata, i jak bratu służyć. Im niżej upadł człowiek, tem więcej starać się podnieść go powinniśmy, bo o swych siłach się nie dobedzie. Otoż cała moja prosta i uboga teoria życia społecznego, które opieram na miłości. Najwyższym u mnie występkiem, bo ziarnem wszystkich jest samolubstwo; najwyższym czynem miłości, jej wyrazem: poświęcenie, ofiara! *Nie młuje, kto się nie poświęca.*

Chociaż świat materialny, wedle niektórych, jest przeciwieństwem świata duchownego, wedle drugich, niedokładnym jego wyrazem: wszystko tu, nawet w świecie materji, co tylko da się nazwać miłością, kończy się poświęceniem. *Gdzie samolubstwo, tam śmierć.*

— Więc za przestępstwa żadnej kary?

— O! o temby długo rozprawiać można. Społeczeństwo zawsze ma udział w każdym występku swoich członków; każda wina człowieka spada na ludzkość, która dopuściła go do niej. Godziż się karać za występki popełniony z poduszczenia lub z uczestnictwem sędziego?... nie. Zamiast kary, inny ma obowiązek społeczność: odsunąć niebezpiecznego członka, aby nie pusił reszty ciała i uleczyć go, to jest poprawić. Kodeks

karny powinien się zwać poprawczym.

— A zatem kara śmierci?

— Kara śmierci jest pozostałością barbarzyńskich wieków. Króciej zapewne odciąć na zawsze tego, który sam zawadza; ale sprawiedliwiej i bardziej po chrześcijańsku, sprowadzić go na drogę prawą.

— Są przecież tacy, których poprawić nie można.

— W dawnym czasie, prawda; ale kogo nie poprawi rok, przemienia lata. Życie jest darem Boga: Bóg jeden rozporządzać niemi powinien, nikt odbierać go nie ma prawa.

Na tem skończyła się rozmowa, gdyz właśnie wszedł Jan i chłopcy zaczęli podawać śniadanie.

Do sali jadalnej weszli wesolo i ochoczo, niosąc obrusy, talerze, półmiski i co potrzebnem było do nakrycia stołu, chłopaki od lat dziesięciu do czternastu, jednakowo poubierani w szaraczkowe spencery i szarawary, z krótko pucinanemi włosami. Twarze ich i świecące się oczy dowodziły, jak się im dobrze musiało. Rumiane policzki, jasne spojrzenie, ruchy swobodne, szczebiotanie wesole, przekonywały, że służba nie była ciężką. Nakryli stoły prostemi obrusami, grubą lecz czystą bielizną, rozstawili pospolite ale niepootłukane talerze, rozłożyli chleb gruby i czarny ale świeży i pachnący, i pospieszyli biegiem lecąc i wyprzedzając się ku kuchni. Dla jednego tylko Jerzego było nakrycie osobne: sztucce staroświecką robotą, bielizna cienka, szkło czeskie. Tak czasem po klasztorach, gdy przyjmują gości, odróżniają ich od zakonników wytworniejszą zastawą, doborniejszemi potrawami.

Już podawać miano, gdy na odgłos dzwonka wtoczyła się większa część domowników, oprócz tych, którzy około pożaru, w polu i przy robotnikach zajęci byli. Na czele ich szedł koniuszy z sążnistymi wąsami, który zawiadywał stajnią i psiarnią, kofmami i polowaniem; za nim nauczyciel dworskiej szkółki i pisarz magazynowy, kilku służących i chłopaki, którzy dymiące misy i półmiski nieśli.

Na śniadanie zastawiono mleko dla jednych, kluski dla drugich, kartofle smażone i krupnik. Słudzy zasiedli obok panów, a nawet małe chłopięta porozstawiawszy wszystko, wzięli się w końcu stołu również do misy z krupnikiem. Sam pan Graba i syn jego, przywykli do śniadania pracowitych ludzi, zjadali smaczno i wesolo. Rozmowa między panem a sługami szła swobodna, niewymuszona, taka, jakby między ojcem a dziećmi miejsce mieć mogła. Chłopcy mieszały się do niej, przytomnie, nie bojaźliwie, nie kryjąc uczuć, jakich doświadczali. Nauczyciel szkółki, pytany o ich postępy, wskazywał pilniejszych, a reszta ze wstydu płonęła. To była jedyna kara, jakiej używano, bo cielesnej nie znano wcale.

Wczorajszy pożar stanowił tło rozmowy, która wkrótce stała się powszechną, i wszyscy się do niej mieszały, opowiadając o powstaniu ognia przez nieostrożne lub suszenie, o ratunku początkowym i poniesionych szkodach. Jeden Jerzy mało jadł, mało mówił, lecz z podziwieniem słuchał. Było coś w istocie bardzo dziwnego w tem towarzystwie z tak różnych żywiołów złożonem, a tak zgodnem; w wyrazach gospodarza, który się umiał, nie poniżając, zniżyć do pojęcia wyrostków, do wyobraźni sług swoich. Jan także wesolo, raźnie

rozmawiał z chłopakami, wypytywał, cieszył, i widać było jak w tej wielkiej rodzinie wszyscy się kochali, jak żadne uczucie niechęci harmonji jej nie zamieszało. Wszystkie twarze były pogodne, nigdzie uśmiechu szyderstwa, nigdzie oznaków tłumionego gniewu lub zazdrości. Usługa szła szybko i wybornie, pomimo, że chłopcy jednym okiem patrzyli na miski swoje, drugim na tych, którym posługiwali. Nareszcie skończyło się śniadanie, i Graba wstał pierwszy, a za nim wszyscy. Jerzy, któremu osobne, złożone z herbaty, kawy i angielskich przydatków, to jest: jaj, szynki, pieczystego itp., podano śniadanie, wstał prawie zawstydzony, że go tak z ogółu wyłączono.

— Teraz — rzekł gospodarz — jeśli woła i łaska, pójdziemy trochę około mojego gospodarstwa. Długo to nie zabawi: pokaże panu to tylko, co u mnie nie jest tak jak wszędzie, reszta bowiem nie ciekawa dla pana. Lecz zwykłeś pan do pieszej przechadzki?

— Do wielu rzeczy nie przywykłem — rzekł Jerzy, biorąc rękawiczki — lecz właśnie że chciałbym się przyzwyczaić: począć potrzeba. Przytem, polując z panem Koniuszym, zrobiłem początek.

— A więc idźmy, i rozpoczniemy od kaplicy.

Jerzy nie odpowiedział, i wyszł. Stała ona w ogrodzie, odosobniona, obsadzona drzewami, a w tej chwili Kapucyn, będący kapłanem u pana Graby, siedł właśnie do niej na modlitwę. Msza znacznie raniej była się odprawiła. Z progu tylko zobaczyli ten domek Boży, wykwintnie i wspaniale przybrauny wewnątrz, i uderzający ozdobami, których tak wystrzegano się w domu.

— Jestto sprzeczność dziwna — rzekł gospodarz —

ale tak mi się zdawało uczynić potrzeba. Dom Boży, dom modlitwy, powinien być wspanialszy od naszego. W nim widzimy duszę tego Boga, który jest wszędzie; ale to miejsce wybieramy, by Mu cześć oddać publiczną, miejsce więc to powinniśmy przybrać jak najwytworniej. Na nic to się nie przydało Bogu, ale potrzebne jest dla ludzi.

Niech co chcą mówią nowsi filozofowie, wiara nie-tylko jest potrzebą społeczeństwa, ale warunkiem żywota ludzkiego. Ona odpowiada koniecznej ludzi tęsknocie za Bogiem i przyszłością. Społeczeństwo bez wiary w krótkim przeciągu czasu materjalizuje się przy największom wykształceniu; najpodnioslejsza cywilizacja nie wstrzyma go od zbestwienia i upadku. Filozofja nie zastępuje wiary, tak jak chemik nie robi złota, choć go rozbiera. Człowiek bez wiary biedny jest i zgubiony; w nim duchowna część sparaliżowana, żyje ciałem tylko: starajmy się więc przykładem naszym także szczepić wiarę. Lud na nas patrzy i naśladuje; często małe złamanie przepisów religji daje sobie za wymówkę do sroższych przestępstw, jakich się dopuszcza. Niejeden co w piątek jadł z mięsem, stał się powodem, że jego sługa został złodziejem lub zbójcą; na pozór jestto sofizmat, w istocie prawda największa. Gdybyśmy w sercu nie mieli wiary, jeszczebyśmy powinni ją w drugich szanować. Tymczasem pospolicie mając wiarę, wstydzimy się jej, i popełniamy największą podłość, jakiej się człowiek dopuścić może.

— W mieście najczęściej spotkać można podobne postacie — rzekł Jerzy — ale na wsi są one rzadkie.

— Nie tak jednak jak pan sądzisz. W mieście wszystko, nawet wiara, podchodzi pod правило mody; na

wsi toż samo malpiarstwo głupie doprowadza bardzo rozsądnych zresztą ludzi do powierzchownego wolterjanizmu, który na ustach mają tylko.

— Mnie się zdaje, że nie tak wolteryanizm — rzekł Jerzy, przerywając znowu — jak raczej obojętność naszego wieku winą. W ośmnastym szydzono z religii, w dziewiętnastym omijają.

— Jest w tem wiele prawdy, lecz wieś zawsze trochę w tyle zostaje, i wlecze się jak statek, ciągniony na linie. Mówiliśmy o wierze. Ja mam ją głęboką, lecz ani o niej rozprawiać lubię, chyba gdy sumienie każe mi się stawić w jej obronie, ani się z nią chlubię, ani wściekam i palę na tych, którzy Bożego daru są pozbawieni. Mój syn, dzięki wychowaniu, nie zatarł w sobie wzniosłego religijnego uczucia. O! bez niego smutne i ciężkie życie ludzkie! A jakże wielki horyzont rozwija się dla nas, co wierzymy. Spokojny, bo otoczony Opatrznością, w milczeniu ofiarując je Bogu, w szczęściu sposobiąc się do jego utraty, w każdym razie powiem, że wszystko co jest, jest *dobrem*.

— Jakto, pan jesteś optymistą?

— Chrześcjanin nim być musi. Widzę Boga nad sobą, kierującego wszystkimi sprawami ludzkimi, wierzę, że wszystko co się dzieje za Jego wolą, ku dobremu posługuje, a zatem jest *dobrem*.

Wiele jest w życiu wypadków, które się nam przykre, ciężkie, bolesne zdają: lecz któż wie jakie w nich ziarno przyszłości leży? Nic nie ma złego i niepożytecznego, uic próżnego.

— Tak więc wszystko...

Jerzy nie dokończył, a pan Graba odgadując myśl jego, dolożył, choć z westchnieniem:

— Tak, wszystko. Lecz żeby ze mną razem postrzedz to, potrzeba się wznieść od pojedynczego człowieka do całości rodziny ludzkiej, do ogóln. Jednostki cierpią, lecz żadna boleść nie jest daremną, żadna nie jest straconą.

To mówiąc odeszli od kaplicy, a przeszedłszy kawał ogrodu, który był razem dziedzińcem, trafili na porządnny budynek, z którego ich wesóły głos młodzieży dochodził: było to szkółka dla dzieci dworskich i wiejskich. W dość wielkiej izbie, czystej i zastawionej ławami, nauczyciel siedząc za stolikiem, opowiadał dzieciom, które z ciekawością zaostrzoną przysłuchiwały mu się, zarzucając go pytaniami.

Nauka szła tu niezwykłym trybem, gdyż pospolicie czytanie i pisanie, rachunku trochę, stanowią przedmioty jedynie wykładane po porafialnych szkołkach. Tu pan Graba wcale inaczej przepisał porządek nauki: czytanie, początki pisania i rachunku były niejako dodatkową rzeczą i ostateczną. Nauczyciel poleconem miał rozwijać młode umysły rozmową, której za przedmiot służyły pierwsze ogólne pojęcia o świecie fizycznym, o dziełach ludzkości itp. Było to nauczanie w sposób patryjarchalny, takie właśnie, jakim była w czasach pierwotnych nauka starców, co byli składem podań. Dzieci słuchały, rozpytywały, i nie męcząc się, zatrzymywały w pamięci zasadnicze wiadomości, których pojęcie rozwijało powoli ich zdolności. Czytanie po piśmie i rachunki stanowiły dodatkowa część nauki, prawie mechaniczną.

Godziny wykładu zchodziły młodzieży niespostrzeżone i czarowne, bo nauka, sprowadzona do ostatnich swych wypadków, odarta z podtrzymujących ją rusztowań, ubrana w proste wyrazy, tyle poezji mające,

zajmowała ich jak powieść i bajka piastunki.

— Czytanie, pisanie i rachunek uważam ledwie nie za ostatnią i najmniej ważną część nauki — rzekł pan Graba do Jerzego. — Pytam się, gdy ich nauczę czytać, co czytać będą? Nietylko nam, ale nawet daleko dalej na drodze wychowania ludu będącym narodom, zbywa zupełnie na książkach, mogących służyć za pokarm dla poczynających żyć umysłowo; jestem zaś przekonany i pewny, że lepsza żadna jak zła książka. Nam dorosłym i wzmocnionym nie wszystko zaszkodzi, lecz temu prostemu ludowi małańka doza trucizny, naczeczko dana, śmiertelną być może. Ztądto, jak niejeden uważał, niedowarzeni wieśniacy, którzy, poznawszy litery, poczęli czytać co im do ręki wpadło, najczęściej psują się i wyrastają na najgorszych ludzi. I nie dziw: w przedpokojach znajdują na wstępie Rinaldiniego lub podobne głupstwo jakie, co im odrazu głowę na wieki zawraca. Książki dla ludu są tak wielkiem zadaniem, że w całej europejskiej literaturze ledwie kilka znam ich znośnych. A jak wielki, jak piękny przedmiot! Cóż, kiedy żaden pisarz nie zechce tej nieświetnej zaśluzgi zamienić za trochę okłasków, jakie zyskuje pisząc dla wszystkich. Moje chłopięta — mówił dalej — wychodząc ze szkółki, mają gruntowną znajomość religji i obowiązków, jakie ona wkłada; wiedzą, że wiara nie na czczych słowach polega, lecz że jest pierwszym prawem życia; uczą się wielkości Boga, mając pojęcie o stworzonym świecie i jego cudach, o ziemi, a nareszcie o człowieku i jego dziejach. Nauczyciel wyklada im trochę medycyny popularnej, ogólne zasady fizjologii człowieka i zwierzęcia, w jak najprostsze ujęte słowa; nareszcie wiadomości wieśniakom, jako do roli przeznaczo-

nym, najpotrzebniejsze o gospodarstwie i tem co z niem ma najbliższy związek.

To mówiąc, wyszli ze szkółki, a Jerzy z radością ujrzał jak jasne oczy dzieci z czułością poufałą i wesolą zwracały się za panem Grabą.

Niedaleko od szkoły był dom ochrony, wedle prób za granicą uczynionych urządzony; tu kilka poważniejszych kobiet czuwały nad gromadą niemowląt i dzieci; ale kobiety to były nie obce, same matki, i z gromady miejscowej wybrane.

Następnie obejrzeli jeszcze warsztaty, w których dzieci wyrostki, mający ochotę do rzemioł, w nich się ćwiczyły pod dozorem majstrów, po większej części krajowców. Wielka stolarnia, tokarnia, kuźnia, izba krawców, szewców i rymarzy, miały po kilku lub kilkunastu czeladników i chłopców. Wszędzie z podziwieniem znaleźli wesolość przy pracy, twarze jasne, spojrzenia śmiałe i dowody zdrowia na kraśnych policzkach; nigdzie tych bladych opileców, którzy na naszych wsiach tak są pospolici.

Jerzy wyraził podziwienie swoje panu Grabie.

— W istocie mogę się tem pochlubić — rzekł gospodarz — iż wykorzeniłem u siebie pijaństwo, bo mi to nie przyszło bez trudności. Nie obwiniajmy ludu o nie, bośmy sami podobno najwięcej mu początkowo winni. Karczmy nasze dawno były gniazdami wszelkiego złego, a żydzi, co je obsiadali, prawdziwymi pomocnikami szatana. Lud spracowany, zmęczony, często zmuszony uciekać się od rozpaczki do pijaństwa, pił, bo musiał pić, bo mu wszędzie poddawano tę nieszczęsną wódkę, a niczem nie chciano osłodzić mizernego życia, wskazując ją jako jedyny ratunek na cierpienie. Chłop,

który ma się lepiej i widzi przyszłość przed sobą, nie pije. Powtóre, nietylko że polepszając stan chłopów, wskazywałem im nieustannie obrzydliwe skutki pijaństwa, lecz w karczmach moich chętnie poświęciłem lichy zysk daleko większemu zyskowi ulepszenia ludu. W karczmach najsurowiej zabroniono sprzedawać wódkę w większych ilościach, i pić w nich zakazano najmocniej. Każdy bierze wódkę do domu, a tam i zachęty mu braknie, i tysiąc go powodów wstrzyma od pijaństwa. Oprócz tego osobny dozorca szynków ciągle czuwa, i nieustannie objężdżając, pilnuje, żeby kieliszek gorzalki potrzebny zdrowiu i siłom, nie przechodził w granice szkodliwe i najszkodliwsze całemu życiu wieśniaka.

Wyrzucając precz żydów, nawykłych do ssania wieśniaka, musiałem ich w pewien sposób zastąpić. Żyd był chaty bankierem, doradcą, kapitalistą, ale jego pożyczka lichwiarska niszczyła chwilowym zasiłkiem. Ten mały budynek jest bankiem wioski: tu każdy znajduje pomoc w potrzebie, i łatwość wypłaty, którą tygodniowo i częściowo wnosi. Pierwszy kapitał zakładowy banku jest własnością mojej gromady, a pochodzi z przychodów, jakie jej dały grunta, uprawione przez lat kilka wspólnymi siłami.

Obok banku masz pan sąd gromadzki, złożony i wybierany corocznie przez gromadę starszizny, która wszystkie sprawy nietylko między wieśniakami, ale nawet między dworem a nimi wyniknąć mogące, rozstrzyga. Ja sam dobrowolnie poddaję się sądowi temu, który nigdy, zaręczam panu, nietylko niesprawiedliwie nie osądził, ale cienia niesłuszności nie ściągnął na siebie.

— A teraz — rzekł wesoło Graba, biorąc pod rękę Jerzego — zawracajmy do dworu, bo więcej nic już nie mam panu do pokazania, i zapewne więcej spodziewałeś się niż widziałeś. Nie ma tu nic nad to, coby każdy sumienny i uczciwy człowiek powinien zaprowadzić u siebie. Rozumie się, że ani mojej cukrowni, ani maszyn gospodarskich, ani innych zaprowadzeń tego rodzaju nie będę panu pokazywał, bo to są rzeczy, które zobaczysz wszędzie. Nie zaprowadzę cię też, kochany gościu, do lazaretu, bo tu nieprzyjemny miałbyś widok, choć mój może porządniejszy od innych; są przecie już te domy zdrowia i po innych wioskach. Mój lazaret tem się tylko od innych różni, że ja go codzień prawie opatruję, że przy nim mam dobrego felczera i aptekę; że do niego zabieram tylko tych, którym źle w domu, a dopatrzyć ich nie ma komu, bo dla reszty lepiej w chacie ze swymi w smutnej godzinie bóleści, niż w najwygodniejszym lazarecie.

Gdyby nie pożar wczorajszy, mógłbym cię zawieść jeszcze aż na wieś, i pokazać chatę i obejście gospodarskie, wcale różne od innych poleskich; ale dziś ciekawość zaspokajać, gdy tyle bóleści jest na wsi, nie godzi się. Szanujmy w nich braci-ludzi.

Nie bez pracy przyszło mi nakłonić ich do zmiany w życiu i mieszkaniu. Poczciwy ten lud szanuje wszystko stare daleko więcej niż my; a bojąc się zmiany, bo nie ma powodów spodziewać się, aby na korzyść mu poszła, w drobnostkach nawet uparcie czepia się przeszłości: i jak od wieków kurną chatę zamieszkiwał niemal razem z bydłem, na wilgotnej ziemi, wśród gęstych dymu wyziewów, tak chce mieszkać sam, tak chce ją dzieciom zostawić. Zmienić więc odwieczne

rozporządzenia chaty, sięgające przedchrześcijańskich czasów, zatrzeć podania, które się wiążą z progiem, ogniskiem, kątem, lawą, piecem, niemalą było trudnością. Nie targuałem się też na przeszłość zuchwale, i nie budowałem szwajcarskich domków, w którychby im było smutno i cudzo; powiększyłem tylko, oczyściłem, wyidealizowałem, że tak powiem, ten materjał, jaki zastałem pod ręką. Chata w mojej wiosce czystsza, porządniejsza, większa: ale nie zmieniła ani swej starej fizjognomji, ani rozporządzenia; dym tylko, szkodliwy zdrowiu, komin wyprowadza, piec z cegiel staranniej zbudowany, okno większe i światła więcej, powietrze lepsze. Bydło wreszcie oddzielone od ludzi, i choć blisko, bo tego dozór wymaga, nie obok przecie. Nie pozalowałem gruntu na podwórko i ogród, a sady, które mój ogrodnik szczepił, stały się już dla wioski przedmiotem starań, bo są zyskowne i mile.

Właśnie stanęli na wzgórzu, i Jerzy mógł ztąd obejrzeć część wsi niespalonej, która miała pozór porządnego miasteczka. Mnóstwo drzew otaczało dokoła domostwa białe, przestronne i wyższe daleko od pospolitych chat. Niedaleko od cerkwi wznosił się lazaret, a w pośrodku jakby rynku, gdzie w istocie były sklepy potrzebniejszych rzeczy dla włościan, maleńka i ciasna stała karczemka.

— Więc są i sklepy, zdaje mi się? — spytał Jerzy.

— Są to tylko składy, które ja kosztem moim utrzymuję. Miasteczka, do których wieśniak dla nabycia wszelkich drobnych potrzeb wyjeżdża co niedziela prawie, napechane głodem i ubogiem żydowstwem, są dlań tak zgubne jak karczmy dawne. Chociaż nie mogę za-
bronić mu pojechać i sprzedać w mieście co ma do

zbycia, staram się dla niego uniknąć kupna przynajmniej. Sól, tytoń, lemięsze, żelazo i tym podobne towary, znajdziesz zawsze w moim sklepie, po cenie daleko niższej niż w mieście, a w nierównie lepszym gatunku. W zamian przyjmuję zboże, po cenie jak mogę najwyższej, czy go potrzebuję czy nie. Oprócz tego obok sklepu jest kantor zbożowy, w którym przyniesione ziarno zawsze przyjmują i oplacają gotowizną.

Jestem także nabywcą bydła, koni, owiec, świń, wełny i lnów; nie żebym miał na widoku korzyści, lecz dla ułatwienia im zbycia produktów, które żydzi nabywają od nich po niskiej i niesprawiedliwej cenie, z ich uszczerbkiem. Dodam tylko jeszcze, dla uspokojenia pana, że jako kupiec nikomu się nie narzucam. Zmuszać wieśniaka do sprzedaży i kupna, choćby najkorzystniejszych, byłoby to zepsuć wszystko. Dla wzbudzenia w nim wiary, potrzeba było, żeby ją sam w sobie doświadczeniem wyrobił. W początku było długie niedowierzanie, wahanie się, podejrzenia i długo sklepy więcej sąsiednim wioskom niżeli moim służyły; ale wreszcie powoli przyszło przekonanie o mojej bezinteresowności: i dziś nietylko że na tem nie tracę, ale, wstyd mi powiedzieć, że mam zyski na tem.

Jerzy, zdumiony i zamyślony, powracał z panem Grabą do dworu. W drodze rozmawiali jeszcze o wszystkim co widzieli.

— Sąsiedzi pewno naśladową pana? — spytał gość.

Graba uśmiechnął się boleśnie.

— Gdybyż! — rzekł — ale gorzej, bo mnie nienawidzą i wściekają się na moje dziwactwa, bo takie dają im nazwanie. Nikomu się nie chce jak mnie pracować dla zaprowadzenia nowego, choćby lepszego: a każda

nowość nie przychodzi bez pracy i walki nawet. Wykręcają więc moje nowości, tłumaczą je najpoczwarniej i czynią ze mnie straszidło. Stałem się nienawistny moim sąsiadom i jedno to tylko mnie pociesza, że gdy niektórzy mnie cierpieć nie mogą, drudzy, sprawiedliwsi, mimowolnie szanować muszą.

— Powinniby się uczyć, naśladować.

— Nie naśladowujemy nigdy, jak skoro naśladowanie miłość naszą własną obraża; naśladowujemy po większej części mimowoli, nie wiedząc o tem. Rozumne naśladowanie jest ofiarą z miłości własnej, na którą nie każdy się zdobyć może.

— Prawda, lecz człowiek też często miłość własną poświęca chęci zysku, a tu tyle jest zysków!

— W zyski moje nikt wierzyć nie chce: uparcie wodzą wszyscy, że się muszę zrujnować. Nikt nie mówi na graczy i rozrzutników, że są bliscy bankructwa, które nad ich głową wisi codzień, bo społeczeństwo nasze pobiła im chętnie; lecz niech ktokolwiek poświęci co zamiłowaniu w sztuce, książkom, obrazom i t. p., nazajutrz w opinii powszechnej zostanie zrujnowanym.

— Pozwól pan powiedzieć sobie, że to może nie bez przyczyny — rzekł Jerzy — widzieliśmy tysiące przykładów, w pierwszych rodzinach naszych ruiny, przez brak rachunku a nagle rzucanie się w wydatki, nie zastosowane do stanu majątkowego.

— To prawda — odparł Graba — widzieliśmy wielu panów, którzy z Włoch, Francji i Niemiec po to tylko poprzywozili biblioteki i obrazy, by je na sprzedaż w kraju wystawić. Lecz nieopatrzność tych nieszczęśliwych, którzy mieli sobie za jakiś punkt honoru nigdy

się nie rachować i nie wiedzieć co się dzieje w ich worku, nie upoważnia do sądu o wszystkich. A wielki dziś uchodzi za bankrutów, i nie ma kredytu dla tego, że kupują obrazy i książki?

Podchodzili już ku domowi, gdy nejtyczanka, zaprzężona trzema dzielnymi końmi, rozpędzona wielkim kłusem, wpadła na dziedziniec. Siedział w niej nie-młody mężczyzna, rumiany, trochę otyły, zbudowany silnie, w zielonym hiszpańskim płaszczu, z ogromną fajką piankową, na paciorkowym osadzoną cybuchu. Woźnica, po krakowsku przybrany, poganiał konie, poprawiając czapeczkę z pawiem piórkiem. Mina siedzącego w nejtyczance jegomości była poważna i pełna zarozumiałości, oczy śmiały się szyderstwem; znać było, że niemałe o sobie i ważności swej miał mniemanie. Zobaczywszy idących, uderzył po plecach woźnicę, i kazał wstrzymać. Sam powoli wysiadł, i nierychło nchyliwszy czapki, zbliżył się do pana Graby.

— Szanownego sąsiada! — rzekł, wyciągając rękę żyłastą i uśmiechając się nieledwie protektorsko.

— Witam pana! — dość zimno odparł gospodarz.

— Przyjechałem dowiedzieć się — zawołał przybyły — widzieliśmy wczoraj ogień u pana, baliśmy się o dwór i toki: ale, dzięki Bogu, to się tylko, słyszę, wsi kawałek spalił.

— Wołałbym, żeby się były toki moje spaliły!

— Żartuje szanowny sąsiad. Chłop sobie da rady; a choć na teraźniejszą drożyznę, to kilka tysięcy rubli, jeżeli nie więcej...

— Tak, ale ja bym łatwiej zniósł tę szkodę niż biedni wieśniacy.

— A! już to pan ze swoją filantropją! psujesz nam chamów.

— Chamów? — z podziwieniem powtórzył Graba.

— Chcę mówić chłopów.

Zamilkli. Przybyły z poważną miną szedł sapiąc ku dómowi; Graba, zaciąwszy usta, milczał z wyrazem niechęci.

— No, ale my tu mamy o czem ważniejszym myśleć — rzekł pan Samurski, sąsiad przybyły. — Wybory się zbliżają: pan jedzie?

— Ja jadę jak zwyczajnie, bo to obowiązek obywatelski.

— Pan jedzie? — powtórzył jakby nie bardzo rad Samurski. — I już zapewne — dodał — kandydatów napatrzonych pan ma?

— Rozumie się. Wybierzemy jak najuczciwszych.

— Bo też, dzięki Bogu, nasze obywatelstwo — rzekł pusząc się sąsiad i poglądając ukosem na Jerzego — z samych uczciwych i godnych ludzi złożone.

— Co daj Boże! — rzekł Graba.

Samurski zaciął wargi.

— No, któż, jak panu się zdaje, na marszałka?

— Marszałkiem — odparł powoli Graba — powinien być najzacniejszy. Marszałek przedstawia najoświeconszą część ludności: szlachtę; wybierzemy, a przynajmniej wybrać powinniśmy co mamy najlepszego, najgodniejszego, czem pochlubić się można. Przedstawiciel szlachty, mający między obowiązkami jeden z najświętszych, to jest wglądanie w stosunki dziedziców ziemi a włościan, winien być człowiekiem nie tylko godnym takiej misji, ale ochotnym do spełnienia jej sumiennego.

— Tak, żeby policji nie dał nam jeździć po nosie — rzekł przybyły.

— A daleko więcej, żeby ludzi uciskać nie dał.

— Nadewszystko obywateli — podchwycił Samurski.

— Nadewszystko wieśniaków — odparł Graba. — Obywatele ucisnąć się nie łatwo dadzą, i mają tyle sposobów bronięcia się; wieśniak żadnego, prócz rozpacz, do której przywodząc go, ściągamy na siebie najstraszniejszą odpowiedzialność, bo grozimy wywrotem porządkowi społecznemu.

— Tak! tak! tak! tak! — pykał krzywiąc się Samurski — ale pan wyznasz, że tu nie o lud chodzi, ale o nas najwięcej. Marszałek trzeba żeby był i bogaty, żeby godnie reprezentował powiat.

— Jak to pan rozumiesz?

— A jużcić przyjęciem kiedy potrzeba.

— Butelkami i półmiskami! — śmiejąc się, rzekł Graba.

— No, a i to potrzebne.

— Najmniej, kochany panie.

— Mniejsza o to: nie ma się o co sprzeczać. No, ale kogoż obierzemy? bo nie taję, że radbym wiedzieć myśl pańską i za kim pójdą głosy: a mam w tem pewne powody.

— Przyznam się panu, że dotąd nie wiem kogoby wybrać należało, i nie myślałem o tem: a rzecz wymaga namysłu.

— Co tu myśleć? — przerwał Samurski. — Tu, ot, gotowiuteńki kandydat, pan Paliwoda z Konopiatej.

— Pan Paliwoda? ha! ha!

— Cóż pan masz przeciwko niemu?

— Nic za nim, kochany sąsiedzie.

— Jakto! bogaty, *honestus*, potrafi honor powiatu

utrzymać, a broń Boże sprawy, da się i policji we znaki, bo i gubernatora zna dobrze, na balach u niego bywał, i nawet w stolicy ma swoje stosunki.

— Toż to są powody do wyboru pana Paliwody?

— Zresztą, cóż pan chcesz, uczciwy człowiek.

— Jak pan to rozumiesz? — spytał nagle Graba.

Samurski się zaczerwienił.

— A ktoś powie że nieuczciwy?

— Poczekajmy, sąsiedzie. Najprzód określmy, z łaski swojej, co rozumiesz przez uczciwego człowieka?

— Już cię, proszę pana — perzając się zawołał tłusty jegomość — każdy to wie.

— A mnie się zdaje, że nie.

— Uczciwy człowiek, honorowy człowiek, zacy człowiek, rozumie się to wszystko jedno; szelmostwa żadnego nie zrobił.

— Czyż to dosyć, żeby się nazywać uczciwym?

— No, a jak Boga kocham, tak ja pana nie rozumiem.

— Posłuchaj więc dwa słowa: uczciwym człowiekiem niekoniecznie jest ten, co złego nie robi, ale taki, co czyni jeszcze dobre, do którego jest obowiązany.

— No, ale co pan ma przeciw panu Paliwodzie, bo pan wie, że jesteśmy krewni?

— Wiem, że panowie jesteście krewni — spokojnie odparł Graba — i nie mam osobiście nic przeciwko Paliwodzie; ale żeby go obrać marszałkiem, nie zdaje mi się.

— Ale, proszę pana, dlaczegoż to? — coraz dumniej i natarczywiej zawołał Samurski, stając w miejscu i zakładając rękę za kamizelkę.

— Czy żądasz pan odemnie całej i sumiennej prawdy? Bądź pan pewien, że ją powiem.

— Jużciż, należy się wytłumaczyć.

— Najchętniej. Paliwoda uczciwym człowiekiem może być, ale dotąd jednak nie starał się, żeby sobie to imię pozyskać. Z matką, pocziwą i starą kobietą, którą szanować powinien, żyje źle i daje zły przykład; o niczem nie myśli, tylko o rozpuście, kartach i hulance, to powtóre; po trzecie, wiem pewno, że marszałkowalby przez sekretarza, co jest sposobem urzędowania najniegodziwszym.

Zdawało się, że pan Samurski dostanie uderzenia krwi do głowy, tak na wyrazy śraby poczerwieniał, zaperzył się i nasrożył. W początku słowa nie mógł wyjąknąć, aż nareszcie, narzucawszy się i nazłościwszy w sobie, poczał niezmiernie szybko, bijąc się ręką w piersi:

— Proszę pana! proszę pana! prawdziwie to jest nie do zniesienia! Pan mnie krewnemu mówisz...

— Mówię prawdę, której chciałeś.

— Ale, najprzód, co to do kogo należy jak on z matką?

— Jak skoro wszyscy jego postępowanie widzą, do wszystkich ono należy.

— To familijna rzecz.

— Dajmy na to.

— No! a co się tyczy życia jego, albo to nie wszyscy przehulać muszą młodość? Cóż to charakter jego plami, czy co?

— Plami, panie sąsiedzie.

— Co! karty, hulanka i dziewczęta? o! co to panie za straszne winy! No! a na cóż człowiek młody?

— Że nie dla kart i hulanki, to pewna.

— Albo on przez to nie może być dobrym marszałkiem?

— Nietylko marszałkiem dobrym, ale niczem dobrem być nie może z temi nałogami.

— Prawdziwie! — zawołał wściekając się Samurski — to jest osobistość, to chyba nienawiść!

— Owszem, panie sąsiedzie, Paliwoda mnie bardzo obchodzi, i właśnie że ma, pomimo swoich wad, wielkie jeszcze przynioty, któremiby na drogę lepszą mógł być sprowadzony. Mówię to pannu, bo jako krewny, jesteś obowiązany nie na marszałkowstwo, ale do poprawy go prowadzić.

Samurski odwrócił się.

— Hej! Piotr! — zawołał na woźnicę — zajeżdżaj! Nie mam co z panem mówić. Do widzenia!

I zawróciwszy się dość niegrzecznie, szybko siadł do nejtyczanki, rzucił na Grabę pełne gniewu wejrzenie, i odjechał.

Graba wytrwał spokojny, chłodny, poważny i nisko ukłonił się spiesźnie wynoszącemu pannu Samurskiemu.

— Nieprawdaż — rzekł do Jerzego — że wartoby pojechać do powiatowego miasteczka naszego, gdzie na zjeździe obywatelskim mają się listy wyborców układać i przyszłe wybory? Gdyby nie to, że pan się pilno wybierasz od nas podobno i chcesz do Warszawy uciekać, zaprosiłbym pana z sobą. Poznałbyś pan lepiej wieś i miasteczko prowincjonalne, co nie jest bez korzyści dla ogólnej znajomości świata.

— Z panem chętnie i najchętniej pojechałbym — rzekł Jerzy.

— No! a może wyjazd nie koniecznie tak pilny?

Jerzy się zamyślił i zawahał.

— Jedźmy! — rzekł Graba — jedźmy doprawdy! Ja się jutro wybieram.

— Ale nie jestem wcale przygotowany: wyjechałem od dziada na dzień tylko.

— Poszłemy po służącego i rzeczy.

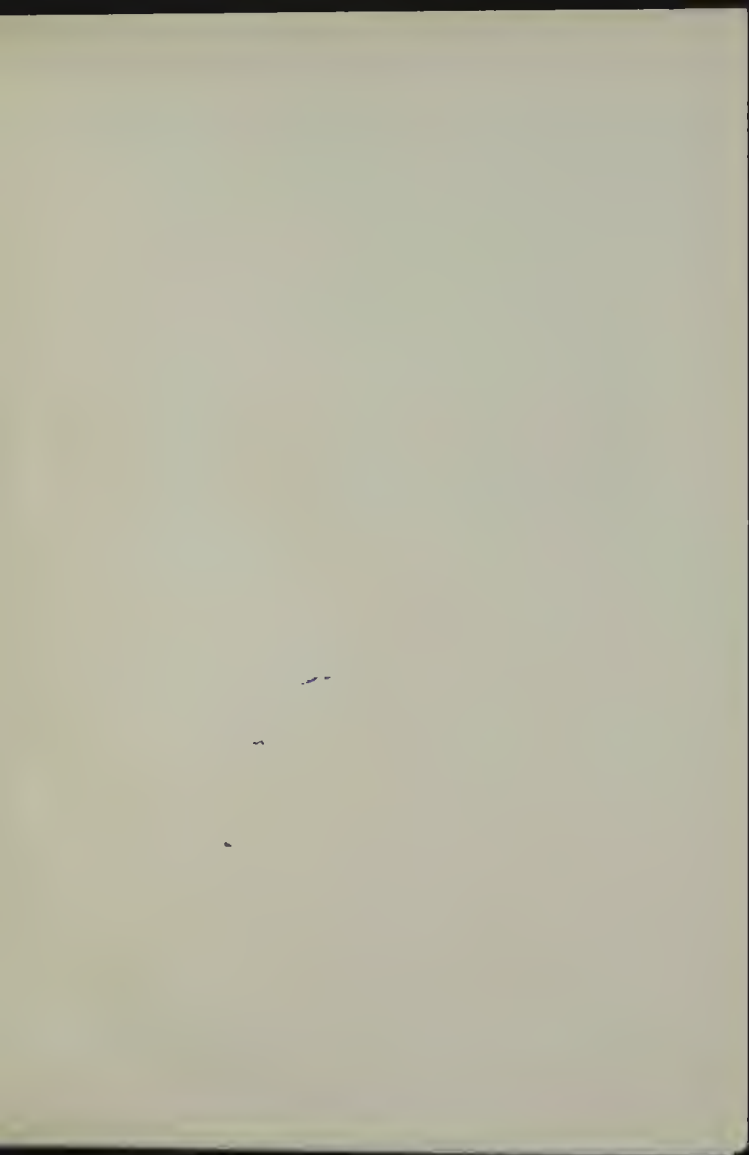
Jerzy chciał dłużej pozostać w tych stronach, brakło mu tylko powodu: przyjął więc wniosek pana Graby z ochotą i natychmiast konny posłaniec z karteczką do Stasia pojechał do Turzej-Góry.

— Oprócz nauki, może się i zabawimy — rzekł Graba. — Młody, a w mieście żyć przywykły, nie możesz nie chcieć i nie pożądać zabawy. Jestem pewien, że jakiś wieczór tańczący się ułoży; a kto wie, czy i panna Irena nie pokusi się do miasteczka.

Jerzy nic nie odpowiedział, ale mu serce zabiło gwałtownie.

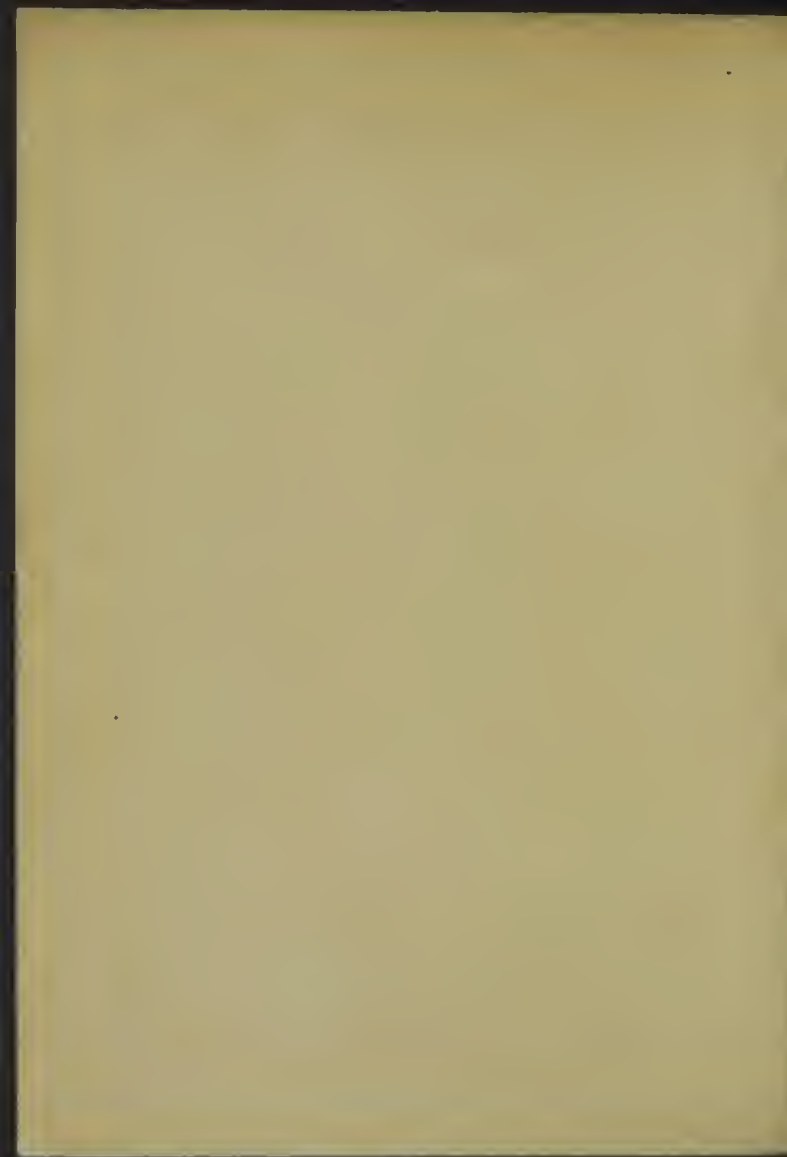
KONIEC TOMU PIEWSZEGO.











100 330/2

15.
—
14

100

Biblioteka Raczyńskich

JIK **1427**



JIK1427